

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

- E. NIZIURSKI — Pierwsze zwycięstwo.
- I. ERENBURG — Przelom.
- R. LUKSEMBURG — „Porządek panuje w Berlinie“.
- K. LIEBKNECHT — Mimo wszystko!
- J. MILLER — Wspomnienia SDK? i L-owców.
- I. MOZGA — Moje 25 lat błądzenia i walki.
- I. CZARNY, E. GONCZARSKI, A. DZEMIL, J. KOPROWSKI — WIERSZE.
- Z. WALLICHT — Historia jednej młodości.
- ST. KRZEMIEN — Notatnik Warszawski.
- J. POGAN — Zyciorys chłopca — górnika.
- M. WIELGUS — „Obiektywne trudności“.

Rok VII

Warszawa, dn. 21. I. 1951 r.

Nr 3 (236)

RYSZARD HŁADKO

NARODZINY EPOKI LENINA — STALINA

Powieść historyczna radzieckiego pisarza Sergiusza Gołubowa pt. „Narodziny epoki“ jest wspaniałą, sześciuset stronicową epopeją, na którą złożyła się szczegółowa relacja o stosunkach i atmosferze przedrewolucyjnej, carskiej Rosji, przedstawionych w przekroju ekonomicznym, społeczno-politycznym, militarnym, prawnym, ideologicznym i moralnym. Ukazuje ona przede wszystkim przypływ fali ruchu rewolucyjnego w latach 1912 — 1914 i przygotowania caratu do wojny imperialistycznej.

„Wojna i rewolucja“

„Przystępując do wojny, burżuazja rosyjska spodziewała się, że poprawi swoje interesy: zdołać nowe rynki, wzbogacić się na zamówieniach i dostawach wojennych, a zarazem, wykorzystując sytuację wojenną, stłumić ruch rewolucyjny“ — mówi „Historia WKP(b)“. Zagadnienie wojny zostało przez Gołubowa ukazane m. in. na tle przelamywania się w świadomości ówczesnej oligarchii obszarowo-kapitalistycznej nabrzmiałej rewolucją atmosfery lat 1912-14 w Rosji. Przedstawiciele tych sfer zdają sobie dobrze sprawę z tego, że rewolucja jest nieunikniona. „Historia narodu rosyjskiego zbliża się do momentu krytycznego: wojny i rewolucji“ — mówi obszarowo-plebipetent walczący hr. Tułubiewa rządca Lippe. Jeszcze lepiej ocenia sytuację wywodzący się z tego sa-

chciałbym się zastrzec: autor zwiększył nieco polityczną bazę rewolucji, jaką była partia bolszewicka. Partia to organizacja. Takiej jednak Gołubow wyrażnie nie nakreślił. Przystępując do wojny, „wielkich“ (rozmiarami roboty politycznej) działaczy partyjnych, jakimi są Aleksy Katasonow, Piotr Markicz, Nogotkow. Położenie wielokrotnego nacisku na organ partii bolszewickiej „Prawdę“ i jej ówczesnego redaktora tow. Stalina, wstępującego w książce pod pseudonimem „wujek Kostia“, nie może zastąpić w pełni samej działalności partii w jej podstawowej masie.

Pomimo tego mankamentu ideowo-konstrukcyjnego, historyczna pozycja i rola mas pracujących przedrewolucyjnej Rosji oraz metody i zakres działania bolszewików, ukazane zostały we właściwych proporcjach i zgodnie z prawdą dziejową. Ich wpływ zaznacza się w każdej dziedzinie: materialnej, politycznej i moralnej.

Na czoło występują tu postacie robotników: Aleksy Katasonowa z Manufaktury Ochotkiej i Nogotkowa, ale „głową polityczną“ i organizatorem roboty partyjnej jest w gruncie rzeczy towarzysz z Zakładów Metalowych i jednocześnie prezydent partyjny z robotniczego „Ogniska Wiedzy i Życia“ Piotr Markicz. Ich pozycja klasowa stanowi najlepszą legitymację dla samej partii i jest najskuteczniejszym orężem walki o jej ideały wśród szerokich mas. Oto klasowy rodowód jednego z nich, Nogotkowa:



W. I. Lenin i J. W. Stalin wg obrazu Wasiliewa (1949) 27 lat temu dn. 21 stycznia 1924 r. zmarł WIELKI LENIN.

Jego to argumentom o konieczności podporządkowania spraw prywatnych sprawie ogólnej proletariatu, należy zawdzięczać rozładowanie konfliktów rodzinnych między Nogotkowem a jego żoną Ołą. Walka o interes życiowy i polityczny klasy robotniczej spłata się z walką o jej profil moralny.

Praca partii bolszewickiej i jej najlepszych przedstawicieli — oto podstawowa przesłanka rewolucji.

Sojusz robotniczo-chłopski

W rewolucyjnych tradycjach partii bolszewickiej, o których mówi Gołubow, zagadnienie sojuszu robotniczo-chłopskiego było od samego początku jednym z naczelnych zadań. Stanowisko bolszewików w tej sprawie pozostawało w kategoriach przeciwności do liberalno-inteligenckiej „chłopomanii“ narodników, z ich pseudosocjalistyczną patriarchalno-tołstojowską „obszczyną“. Jeśli więc Nikita chłopski osadnik hrabiego Tułubiewa, potrafi wyjść z impasu niedorozwoju ideologicznego i od tołstojowskiej fikcji społecznej przejść na pozycję świadomej, klasowej walki o socjalizm, jeśli w końcu powie: dla „zmiany pójde już teraz na każde niebezpieczeństwo“, to jest to przede wszystkim zasługą członków partii bolszewickiej, którzy pomogli mu przezwyciężyć resztki starego i wejść na właściwą drogę rewolucyjnego działania.

Z kolejnych etapów procesu przemiany ideologicznej Nikity, jako do pewnego stopnia procesów przemian całej wsi rosyjskiej szczególnie wagę zwraca narysowany przez Gołubowa z niezwykłą precyzją i zaskakującą znajomością psychiki chłopca moment środkowy tych przemian kiedy to Nikita działa jeszcze z anarchizacyjno-pseudoradykalnego popędu. „Wszystkie miedze i miedze — myślał (Nikita). — Całe pole pocięte... Ile to ziemi przepada bez użytku na tych miedzach! I po co te ogrodzenia? Gdzie człowiek się ruszy wszędzie grodzą. To moje! Nie rusz! Żyją dzieląc najmniejszą gałązkę... I zaraz: — „A ja właśnie nie będę grodził!“ To „A ja właśnie nie będę grodził!“ — stanowi fałszywy wniosek ze słusznego rozumowania. Istotnie: Ni-

kita zdjął z bramy i furtki zasady, powyrzucał ze swojego obejścia wszystkie zamki, otworzył na oścież spichrz, komorę, szope...

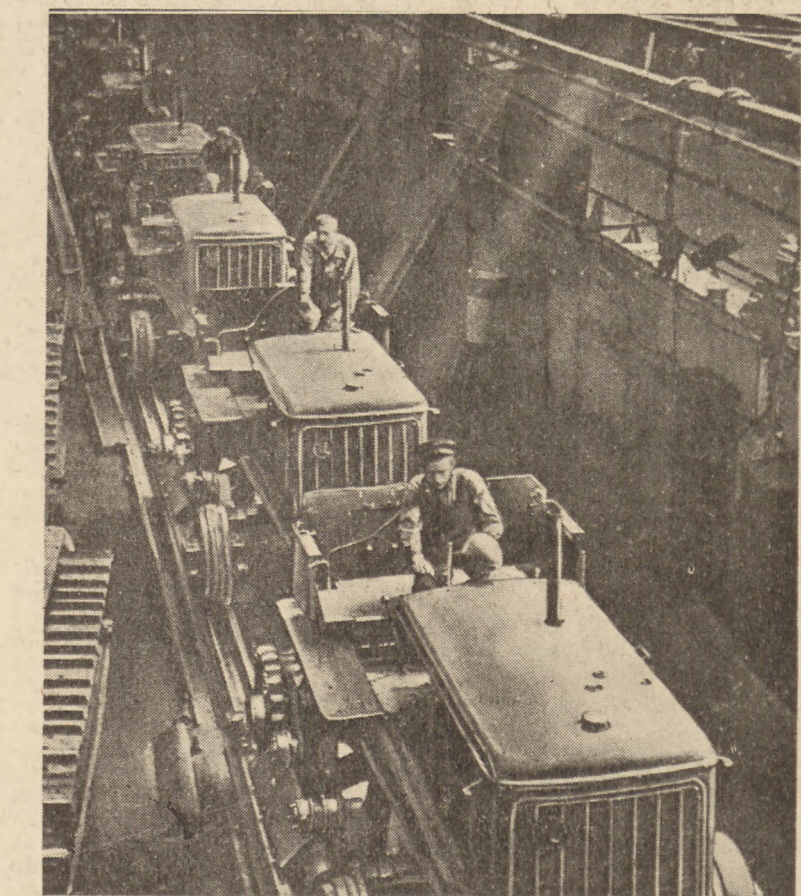
Oto mamy: protest osobobniej jednostki wobec masy. Nie ma on nic wspólnego z historyczną koniecznością przebudowy wsi na drodze gospodarki społecznej, a przeciwnie — wyraża jakiś bliżej nieokreślony utopizm agrarny. Jeśli to miała być forma agitacji wśród chłopów, to efekt jej był wprost przeciwny od zamierzonego. Otwierając na oścież bramy swego gospodarstwa, odgrodził się Nikita tym samym od pozostałej reszty wsi nieprzebytą barykadą swego ahistorycznego anachronizmu myślowego i osobliwej filozofii swego lewactwa. Na szczęście jednak Nikita dzięki dalszej pracy bolszewików oraz dzięki wpływowi swej matki odchodzi od tych poglądów i wkracza na właściwą drogę. Wtedy już będzie mógł dojść do następującego wniosku: — „Trzeba myśleć o tym jak się pozbyć cara i obszarników. Trzeba przypomnieć piątą rok... W miastach robotnicy znowu zbierają się. Trzeba iść i z nimi.“ Tak może już myśleć prawdziwy rewolucjonista, który ze swego myślenia umie już wyciągać słuszne wnioski.

Sojusz robotniczo-chłopski i przekształcająca (w sensie światopoglądowym) rola partii bolszewickiej na wsi rosyjskiej — oto dodatkowa przesłanka późniejszej rewolucji.

Partia oczyszcza się w walce

Pierwszy dziesięć lat przed rewolucyjnej Rosji charakteryzuje szybkie wyrastanie najróżnorodniejszych kierunków i orientacji politycznych, fantastyczna mozaika rozmaitych kierunków myślowych, które niejednokrotnie drapują się w pseudorewolucyjną toż. Wszystkie one jednak w gruncie rzeczy są ośrodkami politycznej i ideologicznej dywersji burżuazji i łonie ruchu robotniczego. Gołubow pewną ich część zgromadził na bankiecie. Obserwujemy tu ćwierć-inteligencki półświatek ograniczonego, drobnomieszczańskiego liberalizmu pseudorewolucyjnego, poznajemy towarzyszy snobów i ary-stokracji literackiej, ze starym pro-

fesorem Koprowem na czele. Wszyscy oni rozprawiają o radykalizmach religijnych, „metafizycznej absolutyzacji wartości niszczenia“, „materializmie bezwyznaniowym i impresjonizmie politycznym wraz z jego intelektualnym odbiciem świata... w rewolucjonizmie“ i smażąc się w intelektualnym sosie konwencjonalnych dysput na temat literatury, sztuki, muzyki, zdrad małżeńskich, syfilityzmu, prowadzą jednocześnie „humanitarne“ rozmówki o głodujących chłopach wsi Tułubiewki. A wszystko to — jak słusznie zauważa jeden z salonowych lowelasów literackich według recepty: — „Wziąć trochę z Konfucjusza, trochę z Tołstoja, trochę socjalizmu i homeopatii, zmieszać razem, wstrząsnąć, dodać prymitywnej głupoty i otrzymamy liberalizm rosyjski“. Wszyscy oni, mimo że deklarują „litość“ dla chłopów, w gruncie rzeczy panicznie obawiają się rewolucji i to bez względu na to czy inne różnice polityczne. Zdobywcą Gołubowa jest właśnie zdemaskowanie w ich pozornych sprzecznościach myślowych jednakowego mechanizmu materialnych interesów.



W radzieckiej fabryce traktorów

dzie „prawdy, piękna i dobra“ a przed chwilą wraz ze swoją kompanią wojskową tłumil strajk robotników Wikułowski. Z koleji syn Tułubiewa musi stwierdzić fiasko swych wysiłków (jako dowódca pułku) wychowania swych żołnierzy w duchu kontrrewolucji. Doskonale wojsko stwarza tym samym obiektywne warunki szybszego zwycięstwa rewolucji. Przyjdzie mu potem stwierdzić: — „rosyjski żołnierz to... nieznanny Sfinks“, „Nieznany Sfinks“ był w kilka miesięcy później pierwszym, który tworzył rewolucyjne Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

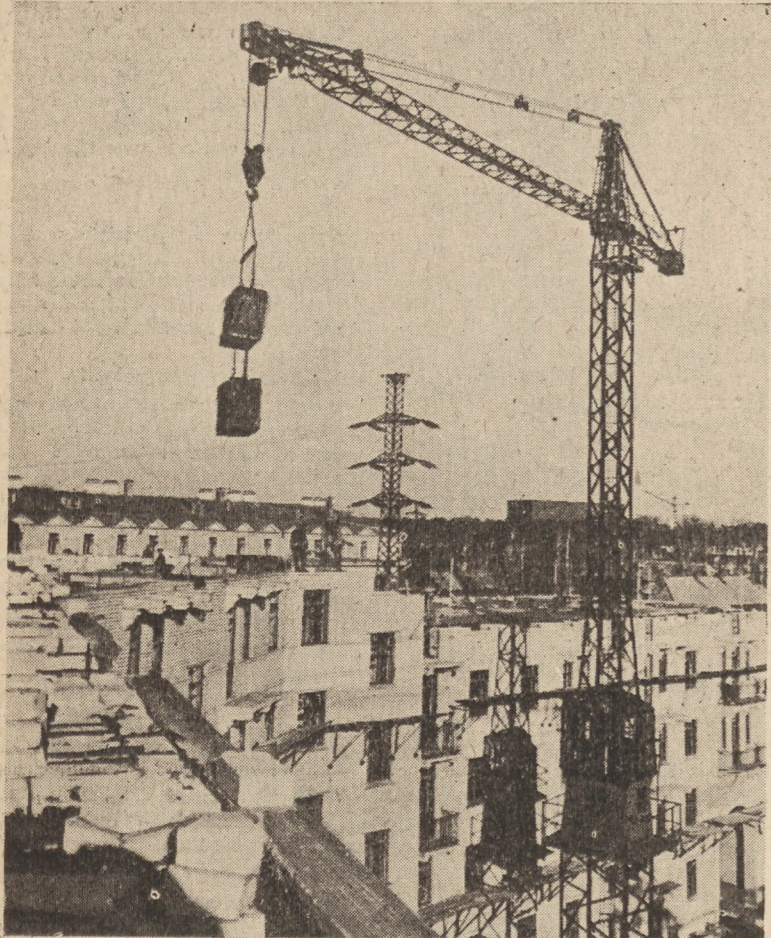
Oczywiście, z penetracją wroga klasowego w łonie klasy robotniczej i partii walczącej nieugięte bojownicy tej partii w tej walce dokonują się proces ostatecznego oczyszczenia ideologicznego. Odpadają tchórze, likwidatorzy, otwożści i inni. To był dalszy z kolei warunek zwycięstwa rewolucji, warunek narodzin nowej epoki. Takie były ostateczne, historyczne konsekwencje skrzyżowania woli ludzi i klas z prawami dziejów roku 1917 na wielkiej mapie politycznej ówczesnej Rosji.

Pisarska metoda realizmu socjalistycznego

Wypada nam jeszcze pokrótce omówić metodę pisarską Gołubowa. Jest on pisarzem realistycznym, o głębokiej kulturze artystycznej, który widzi rzeczywistość w jej dialektycznym rozwoju i związkach przyczynowo skutkowych. Nie rozumiejąc się w naturalistycznej drobiazgowości przypadkowych zdarzeń, nie wdając się w wyrafinowane peregrynacje psychologizacyjne — autor, w sposób realistyczny obnaża najbardziej charakterystyczne przejawy klasowej sytuacji, odkrywając procesy gnilne ówczesnych sfer rządzących i ich historyczną funkcję, na tle narastającej fali rewolucji. Jednocześnie w doskonały artystyczny sposób wiąże poszczególne wydarzenia, uzależnia je i uwarunkowuje. W trakcie czytania, po wielokroć razy uderza nas zdumiewająca głębia analizy politycznej i doskonałość artystyczna.

Gołubow unika języka publicystyki. Podstawowe konflikty społeczne epoki wyraża w pryzmacie akcji. Nie mówi o nich, lecz pokazuje je. Postępuje się w tym celu zdania krótkimi, zwartymi, nasświetlonymi niekiedy refleksem lirycznego wzruszenia. Szczególnie mocno czuje się on w partiach dialogowych. Najsilniej przemawia tam, kiedy rezygnując z odautorskiego komentarza, kiedy sprawę oddziaływania na czytelnika powierza tokowi akcji.

Spójrzmy wreszcie na tytuł: „Narodziny epoki“. A więc rewolucja? A przecież autor doprowadził opisywane wypadki jedynie do momentu wybuchu pierwszej wojny imperialistycznej 1914 roku. A jednak



Budowa Moskwy. Transportowanie cegły do miejsca przeznaczenia

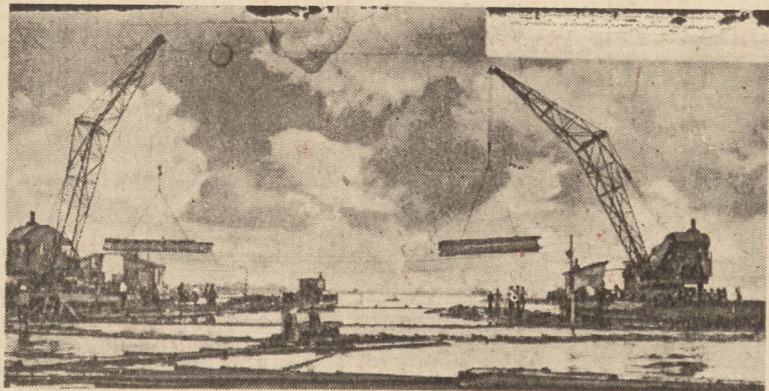
mego środowiska Boidyriew, który jest zdania, że już niedługo „...usłyszymy odwieczną śpiewkę chłopską: „Canaïlles, tu manges mon pain“. („Zjadasz mój chleb, kanaïl!“). A więc rewolucja. Chodzi teraz tylko o to, jakby ją zdławić czy odwiec. Można tego dokonać albo przez wojnę, albo — jak proponuje Boidyriew — przez wprowadzenie reform ustrojowych burżuazyjno-demokratycznych, wśród których uciążliwym swą personalną „konkretność“ i stały się „nieuchwytny“. Chłopi przecież nie widząc cara i jego urzędników nie mieliby przeciw komu kierować swych pretensji. Burżuazja rosyjska wybiera wojnę. Gołubow odsłania przed nami przygotowania caratu do wojny. Przebiegają one we wszystkich przejawach życia ówczesnej Rosji. Przeciwno wojnie imperialistycznej występują jedynie masy ludowe.

Bolszewicy kierują rewolucją

Elementem historycznej negacji caratu, jako systemu ustrojowego, jest pokazany przez autora poprzez artystyczny i polityczny kontrast lud rosyjski z klasą robotniczą na czele i jej partią bolszewicką Tu-

„Siostra umarła mi na gruźlicę, nad praniem pańskiej bielizny. Braćszek Mitia pracował w drukarni. Ale nie długo. Zatrął się pyłem ołowianym i już po nim. Matka przed cerkwią zebrała i tam duszę oddała Bogu. Starsza siostra Paszka, nocniki spod jednego pana wynosił, za pokojówkę służy... Wszystkich zabiła niedza... Kapitalizm... przyniósł!“ Ten indywidualny wariant losów ludzkich powtarza się z małymi wyjątkami w dziejach każdego z nich. Z kart książki poznajemy ich jako ludzi, którzy w swym życiu i doświadczeniu są już „bogatsi wiarą w klasę robotniczą“.

Aleksy Katasonow jest tu najbardziej reprezentatywną postacią. Jednoczy on w sobie wszystkie typowe cechy dobrego bolszewika. Walczy o realizację generalnej linii partii na odcinku masowych wystąpień robotniczych, o przekształcenie strajków ekonomicznych w strajki polityczne przeciw caratowi i wojnie, tak jak to czynią robotnicy Zakładów Putilowskich i o zwycięstwo bolszewików w wyborach do IV Dumy. Pociąga za sobą robotników wizją wspaniałej przyszłości, wizją socjalizmu.



Budowa kanału w Astrachaniu.

* Sergiusz Gołubow „Narodziny epoki“ S.W.C. „Czwetnik“ 1950 r.

D M I R A J O S T a l A

EDMUND NIZIURSKI

PIERWSZE ZWYCIEŚTWO*

O siódmej rano przybiegli do Pałysa zziaryny chłopak i wykrztusił tylko jedno słowo: „traktor“

Pałysowi serce uwięzło w gardle. Od razu domyślił się najgorszego. Pobiegł pędem na miejsce. Traktor stał otoczony ludźmi. Snopowiązanka zatrzymana w pół ruchu. Usmarowany traktorzysta z POM-u, Witecki, krzątał się koło motoru.

— Co się stało?
Wszyscy milczeli.
— Coś tam zmasztrowali, do cholery — zachrypiał Pałys, tłumiąc wściekłość.

Witecki podniósł głowę. Czapka przesunęła mu się do tyłu, odsłaniając białe czoło pokryte drobnymi kropelkami potu.

— Panewki się stopiły.
Pałys nie wiedział na czym defekt polegał, ale rozumiał, że sprawa jest poważna.

— No to znaczy, że motor diabli wzięli...
— Ano tak...
— A jakże się mogły stopić?

— Ano zwyczajnie, wzięły się i stopiły — warknął traktorzysta.

— Jak to, do cholery, musiało coś w tym być — naciskał Pałys.

— Panewki nie masło, żeby się z tyle czego topiły — poparł go Slimak.

Traktorzysta czuł, że się nie wykręci.

— Oliwa zła — mruzczał ze złością, wycierając ręce o gałgan. — Jest to teraz co dobrego?...

— Ile czasu jeździłeś na tej oliwie?
— Ano do wiosny, orki i siewy — stęknął, coraz więcej rozdrażniony.

— Spaliły się kiedy?
— Nie.

— Kiedy był w remoncie?
— W remoncie? Traktor tego roku z fabryki wyszedł! Od początku na nim jeżdżę i doglądam. Nie będzie tydzień, jak był na przeglądzie, powiedzieli, że może jeździć 100.000... Na, ale wypadki chodzą po ludziach — uśmiechnął się kwaśno.

Ten śmiech przebrał miarkę. Pałys przestał panować nad sobą. Dłonie zwinął w kulak i przypadł do traktorzysty.

— Wypadki! To nie jest wypadek! Szkodnictwo, psiakrew! Przysięgają żółtodziobów, a te psują maszyny i śmieją się... Ty wiesz, to to znaczy! Plan nam zawaliłeś!

— Ja? Za zepsutą maszynę? — uderzał się kciukiem w pierś traktorzysta. — Ja żółtodziób? Rozumu nie macie! Afrykę i Włochy czoiğim przejechałem...

— Za maszynę ty odpowiadasz!

Witecki z wściekłości na chwilę zaniemógł. Oglądał się po zebranych wybaluszonymi oczyma jak osaczony zwierzę, potem wysunął z kieszeni kluczek francuski w otwartą maskę i mówił szybko, dysząc:

— Odpowiadam za maszynę, ale nie za sabotaż! Traktor wczoraj przyjechał i stał u was na dziedzińcu przez całą noc...

— Stróż go pilnował — rzekł któryś z chłopów.

— Stróż? — zaśmiał się ze złą satysfakcją Witecki. — Stróż, ten buldog, moczomord! Podobno dopiero o jedenaście przynieśli go urzędowego od kulaka z wesela, a potem spał w sianie. Rozbudził go dopiero koniuchy, co przyszli po paszę... Przez ten czas byle kto mógł podejść do motoru. Kto wie, czy nawet nie nauymyśle upili tego buldoga...

Gdy Witecki skończył, zapanowała pełna konsternacja cisza. Sabotaż stał się tak prawdopodobny, że nikomu nawet nie przyszło do głowy podważyć wywody traktorzysty.

Pałys zdjął czapkę i gładził włosy... Ludzie skupiali się coraz ciasniej koło niego.

Witecki z rękami w kieszeniach, o party o zepsutego traktor, uśmiechał się ironicznie.

— Patrzta, jak mu chodzi o traktor — podniósł się pomału szeptem.

— Bał się tylko o siebie. Jak mu się udało zwałić winę na sabotaż, nic sobie z nieszczęścia nie robił...

— Chystek! — krzyknął ktoś. Tłum się poruszył, jakby chciał runąć na traktorzystę. Mężczyźni zaciskali pięści. Kobiety wygrażały. Po raz pierwszy zdali sobie sprawę, że ktoś ich skrzywdził, świadomie i beziluznie uderzył w ich spółdzielnię i po raz pierwszy odczuli to, jako bezpośrednie uderzenie w siebie. Objętość i uśmiech traktorzysty jeszcze więcej ich zespłoty. Gdyby teraz ktoś im wskazał człowieka i powiedział: „To on zepsuł maszynę“ — niechybnie rzuciliby się na niego i rozszarpali.

Traktorzysta ponownie zbliżył, oczy napętlony mu się strachem. Chciał uciekać. Na szczęście rozległ się mocny głos Slimaka:

— Stać! To przecież nie on zrobił. A śmieje się bo głupi. Ty robotnik jesteś? ty! ty! — Slimak groził mu fajką, a w słowach jego dzwiała żałość i zawód. Wreszcie machnął ręką i obrócił się do swoich.

Ludzie odsuwali się ostentacyjnie od Witeckiego.

— Ci z POM-u, co na wiosnę orali — dali się słyszeć głosy — to były swoje chłopa. Taki do traktoru nikomu nie dał się zbliżyć. A szorował, a czyścił... dbał jak o żywe stworzenie, lepiej jak jakiegoś dzokego o konie. I miał ten ambic, że chciał naprawdę pomóc.

Robotę przerwano. Pałys wiedział, że czekają na coś, na jakieś postanowienie w związku z traktorem, że ta sprawa musi być od razu załatwiona, inaczej robota utknie, ale nie wiedział, co powiedziec ludziom. Od kilku dni czuł, że grunt mu się rozstępował pod nogami, a on chodzi jak ślepy. Do licha, czyżby był złym gospodarzem — zapytał sam siebie — czyż nie byłbym dość energiczny i zapobiegliwy?

Nie, jako gospodarz nic nie mógł sobie zrzucić a mimo to czuł, że nie jest w porządku. Budziło się w nim jakieś niesprecyzowane jeszcze przeświadczenie, że być gospodarzem według starego rozumienia to nie wszystko, że brakuje mu czegoś, jakby jeszcze jednego zmysłu, bez którego czuł się wobec tych ciemnych spraw słaby i bezbronny. Po raz pierwszy od wielu dni zdjął go strach przed mocą wroga.



Rys. St. Gierowski

A najgorsze, że ludzie czekają decyzji, pomysłu, inicjatywy... Do tego ich przecież przyzwyczajali od początku. Niechętnie słuchali dyskusji na zebraniach i dawali do zrozumienia, że nie potrzebują od nikogo rady. Rzemach spółdzielni i sprawności roboty jakby przyznawały mu rację. Sekretarza organizacji partyjnej, Slimaka, uważał za dobrego człowieka, ale głębiej i jałowego teoretyka. Zebrania partyjne starał się trzymać z daleka od wewnętrznych spraw spółdzielni. Dziś po raz pierwszy ta bierna, nieporadna i wyczekująca gromada rozłościła go.

— Stado bezmyśle — pomyślał z niechęcią. — Patrzta na mnie, jakbym był duchem świętym, wszystko na jedną głowę.

Poczuł się bardzo zmęczony i... sam. Nie, nie sam!

Z rozgadana, bezładnego tłumy wychodzą ludzie. Idzie Slimak ciężkim krokiem — tak musiał iść niegdyś owego krwawego i maja w robotniczym pochodzie w Czerwonych Rudach. Idzie Gołębowski z jakimś postanowieniem na zeszczonej ospą twarzy. Idzie chudy, tyczkowaty Skalski o ciężkich rękach. Klimek — ojciec i czarna malutki Migas o przenikliwym jak igła spojrzeniu. Pluta, raz po raz poprawiając czapkę, jakby był zakłopotany, Bugaj z rękami w kieszeniach i zgastym papierosem w zaciśniętych, zda się mocniej niż zwykle zębach i dziadek Piszczyk, chrząkając jak w uroczystej chwili.

Pałys otworzył usta, jakby chciał zapytać, ale nim zapytał — zrozumiał i stojący najbliżej usłyszeli, jak wyszeptał ni to ze zdumieniem, ni z radosną ulgą: „Partia“.

Zebrań partyjne odbyło się na najbliższych snopkach trochę nieformalnie i bez odczytania protokołu z poprzedniego zebrania, pod ostrzałem żywych komentarzy reszty spółdzielców.

— Patrzta, wzięły się jednak w kupę i radzą — zagałta zaintrygowana Kękusiowa.

— Dużo uradzą — dowodził Churys.

— Po mojemu nie trza było żniw zaczynać tak łapą capu bez niczego. Trza poczekać na maszynę. Co nagle to po diablu. Ze Pałys w ukropie kąpię, to mamy dla niego zdrowie tracić?

— Tośta nie słyszeł komunikatu, co w radio mówili? — zapytał Plichta.

— Słyszałem, a bo co?
— Jakby tak miało być, jak tam bez radio mówili, to się z żytem trzeba pospieszyć, choćby sierpem a kosą cięć.

— A wyśta tego radia wystuchali jak objawienia bożego...

— Pierwszy raz słyszał, to go przęjęło — dorzucił śmiejąc się Dudek.

— Ja to wam powiem — ciągnął Churys z tajemniczą miną. — W komunikacie nie ma co wierzyć. Mało to razy nasłuchaliśmy się...

— U Sobczaka we mlynie — dorzucił ktoś złośliwie, ale Churys udał, że nie słyszy i tłumaczył dalej autorytatywnie:

— Mówią „deszcz“, a tu słoneczko aż piecze. Mówią „pogoda“ budzisz się rano — kapie z dachu. O, na Zielone Świątki przepowiadali deszcz, a były deszcze?

— Prawda, że było sucho, choć nie powiem, pochmurno...

— Zbierało się od rana lno zebrac się nie mogło — ktoś powiedział.

— Widzita, deszczu nie było. Tak i teraz, skąd nagle grad? Jak żyję, nie pamiętam, żeby o tej porze... W maju, w czerwcu, nie mówię, bywa...

— Ale zawsze — upierał się Plichta — niechyb ta był i sam deszcz, to już strata niechybna. A jak się zaniesie i będzie lato — zboże na pniu porośnie. Nie bywało tak?

— Patrzta, jaki dbały — zgasił go Churys — mogłeś mędrkować na swojej mordzie! A tu spółdzielnia! Inni nie takie gówno jak ty wnieśli, a nie pyskują tyle.

— Cios był trafny. Plichta odczuł przy-

tyk do swojego wkładu, zacerwienił się i umilkł, a w duszy poczuł znów gorzcy dawnych upokorzeń. — Więc i tu... w spółdzielni, stałe będzie się wleko — pomyślał, zdjęty strachem.

Churys uśmiechał się pod nosem zadowolony i częstował najbliższe stojących papierosami.

— Co prawda, to prawda — potakiwał Churysowi Dudek. — W stuletnim kalendarzu tego roku żniwa na sucho zapisane. Gonić nie ma co.

— Ano zaczął, i co z tego — próbował nadrobić miną Churys. — Wejdźcie w jego położenie. Taki Momot na maszynę liczyć nie może... Ani robotnikowi dziś mając nie tak łatwo. Przycisnęło chłopca, wiadomo, to i dźwięk się nie ma co, że się spieszy.

— Widać, że ci go żal — zawołał Skalski zaczepnie, patrząc w oczy Churysa. Churys stchórzył. Spojrzał po twarzach. Chłopi szemrali nieprzyjaźnie. Zmąrkował, że za dużo powiedział i wycofywał się powoli.

— Żal nie żal. Za język mnie nie łapcie. Tłumaczę tylko jak jest.

— Wśród ludzi wzmożony się wrzawa. Nad nią wybił się cieniutki pisk Kękusiowej, wdowy na czterech niegdys morgach.

— Po mojemu, to nad maszynami medytować nie ma co. Bóg chciał, to i nieszczęście dopuścił. Jak szłam do spółdzielni, to na czyste piękne oczy albo dla maszyn, albo zebym sobie odpoczywała, ino do pracy. Mnie i maszyn do szczęścia nie potrzebne.

— Pewnie, przecie — na chleb, to choćby i gołymi rękami przyszoło robić — mus.

Dudek przysłuchiwał się pilnie, aż głowę przekrzywił. Słyszcząc, jak w zapale biedniaki na maszynę zbyt łatwo machnęli rękami, skorzystał z okazji:

— Mają rację Kękusiowa! — zakrzeczał. — Tak to z maszynami! Nigdy nie pewnego. Najpewniejsze to takie grabie — pokazał swoje rozczapierzone, drapieżne dłonie z krzywymi paznokciami.

— Głupista! Co maszyna, to maszyna — obruszył się Migas.

— Jak maszyny nie warte, to czemuż wieszle lato od swojego serdecznego przyjaciela Buraka żniwiarkę pożyczają — dorzucił Strójwaj.

— Pożyczył, pożyczal — posypały się głosy — tylko nie wiadomo, czym zapłacił.

— Duszą zapłacił — zaśmiał się Strójwaj.

— Żniwiarka to rzecz insza a traktor inszał Ziemię wyjęłowi — zacietrzwił się Dudek. Ale ludzie go już nie słuchali.

Gdy uchwałę tę sekretarz organizacji partyjnej, Slimak, przedstawił zebranym koło zepsutego traktora chłopcom, zapanowała złowroźna cisza. Nikt głośno nie zaprotestował, ale między sobą ludzie zaczęli szeptać i pomrukiwać, wodząc nieprzyjaźnie oczyma po ziemi. Partyjni czuli się jak napiętownicy.

— To najgorsze! — powiedział cicho do Pałysa Slimak. — Gdyby wystąpił otwarcie, można by dyskutować, przekonywać, tłumaczyć. A tak... Odgrędzają się od nas jak wtedy z szosą, zamkną w sobie, że nijk do nich nie przystąpisz. Nic nie powędza, a do roboty nie przyjdą... Rozleci się wszystko, nie wiadomo kiedy.

— Co robić? — denerwował się Pałys. Z gromady dochodziły urwane uwagi.

— Na co taki gwałt...
— Ludzi uwieźli się pomordować...
— Widział kto, w nocy?...

— Z tym podorywkami w głowie im się pomagają.

Nagle nad te szeptki i stękania wyplłynął mocny, choć przerywany pospieszonym oddechem głos Skalskiego:

— Patrzta, ludzie — pokazał wszystkim wielkie, nabrzmiałe w stawach ręce — znacie mnie i wiecie, że tymi rękami przez czterdzieści lat pracowałem w ziemi. Chciałem, żeby mi śtyry morgi dzieci nakarmiły i ubrały. Nie dawały rady. To poszedłem na pańskie i pracowałem, a później na gulońskie. Nie byłem pijak ani żaden zbereknik, ani próżnik. I cożem się dorobił? Ino swego włosa, garbu na grzbiecie i reumatyzmu w rękach. Czyżem miał zato u ludzi poważanie? Bele gówniarz z Gór z drogi mi kazał ustępować, od dziadów nawymyślał.

— Po co ta mowa? Życiorosów tu nie potrzeba, to nie Partia! — ktoś krzyknął z tłumy.

— Po co ja to mówię? Po co biedę nagaśką przed wami stawiam? A po to, żebyście wiedzieli, że dla takich jak ja, a jest nas tu najwięcej, spółdzielnia nasza to jest dla nas wszystko. W niej grzebię wyprostuję i człowiekiem wreszcie się staniesz. A jak una nas nie nakarmi, jak una nie da chleba, to kto nam da? A to mówię po to, że są jeszcze takie, co na spółdzielnie patrzta jak na cudze i w robotcie to ino zbyć i oszukać, a odleć, a głupie są, bo przez to siebie samych zbywają i oszukują.

Chłopi milczeli, tylko Churys zaczął od razu mówić:

— Nikt tu nie myśli oszukiwać, ino my uważamy tak: w pospiechu najłatwiej głowę skreślić. Mamy obiecaną maszynę za śtyry dni, czy nie mamy? Mam! Snopowiązalki i traktory; to jakieś nam nie nakarmi, jak una nie da chleba, to kto nam da? A to mówię po to, że są jeszcze takie, co na spółdzielnie patrzta jak na cudze i w robotcie to ino zbyć i oszukać, a odleć, a głupie są, bo przez to siebie samych zbywają i oszukują.

— Ja ci dam krowy — obruszył się na pół żartem Pałys. — Od tego założyliśmy spółdzielnię, żeby robić lepiej jak przedtem! Patrzta, jaki tu grunt, rędzina! — Pałys postąpił dwa kroki i trzął butem wysychającą, bielejącą już od słońca bryłę. Potoczyła się, ale nie rozpadła. — Nie znata tej ziemi? tu wszystko wysycha jak piór, ani się obejrzy! Podorywkę trza robić momentalnie, żeby reszcie wilgoci uratować. A kiedy chęta mieć murowane poplony, to trza tego samego dnia zasiać. Jeden dzień w lipcu więcej znaczy jak dziesięć we wrześniu.

— Prawdę mówi Franek, orki nie wolno odkładać!

ni odstraszy. O tym też trza pamiętać. — Churys, odkądś taki o ludzi dbały? — rzucił Skalski. — Lepiej widać, czy to prawda, że Momot żniwa zaczął i za robotnikami się ugania.

Churys zmieszał się widocznie. Wszyscy wiedzieli, że Churys do Momota na radio chodzi i że Momot trzymał do chrztu najmłodszego pędraka Churysowego.

— Ano zaczął, i co z tego — próbował nadrobić miną Churys. — Wejdźcie w jego położenie. Taki Momot na maszynę liczyć nie może... Ani robotnikowi dziś mając nie tak łatwo. Przycisnęło chłopca, wiadomo, to i dźwięk się nie ma co, że się spieszy.

— Widać, że ci go żal — zawołał Skalski zaczepnie, patrząc w oczy Churysa. Churys stchórzył. Spojrzał po twarzach. Chłopi szemrali nieprzyjaźnie. Zmąrkował, że za dużo powiedział i wycofywał się powoli.

— Żal nie żal. Za język mnie nie łapcie. Tłumaczę tylko jak jest.

— Wśród ludzi wzmożony się wrzawa. Nad nią wybił się cieniutki pisk Kękusiowej, wdowy na czterech niegdys morgach.

— Po mojemu, to nad maszynami medytować nie ma co. Bóg chciał, to i nieszczęście dopuścił. Jak szłam do spółdzielni, to na czyste piękne oczy albo dla maszyn, albo zebym sobie odpoczywała, ino do pracy. Mnie i maszyn do szczęścia nie potrzebne.

— Pewnie, przecie — na chleb, to choćby i gołymi rękami przyszoło robić — mus.

Dudek przysłuchiwał się pilnie, aż głowę przekrzywił. Słyszcząc, jak w zapale biedniaki na maszynę zbyt łatwo machnęli rękami, skorzystał z okazji:

— Mają rację Kękusiowa! — zakrzeczał. — Tak to z maszynami! Nigdy nie pewnego. Najpewniejsze to takie grabie — pokazał swoje rozczapierzone, drapieżne dłonie z krzywymi paznokciami.

— Głupista! Co maszyna, to maszyna — obruszył się Migas.

— Jak maszyny nie warte, to czemuż wieszle lato od swojego serdecznego przyjaciela Buraka żniwiarkę pożyczają — dorzucił Strójwaj.

— Pożyczył, pożyczal — posypały się głosy — tylko nie wiadomo, czym zapłacił.

— Duszą zapłacił — zaśmiał się Strójwaj.

— Żniwiarka to rzecz insza a traktor inszał Ziemię wyjęłowi — zacietrzwił się Dudek. Ale ludzie go już nie słuchali.



Rys. St. Gierowski

Gilza, który dolychczas milczał, stojąc na boku i wyraźnie gardząc sprzeczką, palił spokojnie papierosa w wielkiej, winiowej cygarnicy, teraz rzekł donośnym i rozstrzygającym głosem:

— Gadanie gadaniem, a co się zaczęło, trza skończyć. Przerywać nie ma co, bo w przerwie diabeł hula.

— Brawo, Gilza! — krzyknął Klimek, Kubinieć, młody Plichta... cała zetempowała brigada.

Gilza pogroził rywalom zakrzywionym palcem jak sękiem, bo mu przypomniał tym okrzykiem mecze na błoniu, do których, czuł wstręt, ale uśmiechał się, polechtany uznaniem młodych.

— Ma rację Pałys — poparł Gilzę inni. — Jeszcze kto przedko sprzątnął, nigdy nie stracił.

— Kalendarz stuletni to ma krótką pamięć — ośmiął się Strójwaj.

— Jak do odróbki, to całą rodzinę wypędzają, a na swoje żałużą!

— U Bugaca za cały dzień ino chlebem a maślanką przekąsiły i nie stękały.

— Nikt nie mówi, żeby nie skończyć — zgodził się stary Michał. — Ino w podorywkach przyjdzie pofolgować. Zaoresz się po żniwach, tak jak ludzie robią. Widział kto na raz wszystko? Jeszcze i krowy na ścierni popasiam.

— Ja ci dam krowy — obruszył się na pół żartem Pałys. — Od tego założyliśmy spółdzielnię, żeby robić lepiej jak przedtem! Patrzta, jaki tu grunt, rędzina! — Pałys postąpił dwa kroki i trzął butem wysychającą, bielejącą już od słońca bryłę. Potoczyła się, ale nie rozpadła. — Nie znata tej ziemi? tu wszystko wysycha jak piór, ani się obejrzy! Podorywkę trza robić momentalnie, żeby reszcie wilgoci uratować. A kiedy chęta mieć murowane poplony, to trza tego samego dnia zasiać. Jeden dzień w lipcu więcej znaczy jak dziesięć we wrześniu.

— Prawdę mówi Franek, orki nie wolno odkładać!

— Wolno nie wolno, jak trzeba, to mus — gderał Michał.

— Nie trza dać się zmusić. Przełamać chorobę!

— Zdąży się — powiedział Skalski. — Noce tera jasne a chłodne. Więcej zrobisz jak we dnie. Mamy jedenaście koni. Dwie pary pójda do żniwiarki: jedna ciągnie, druga odpoczywa i tak na zmianę. Reszta do orki i siewnika.

— A snopowiązalka? — zapytał Plichta.

Skalski rozłożył bezradnie ręce:

— Snopowiązalkę się odstawi. Inaczej nie da rady. Zebyśmy mieli konie, ale tak... Zresztą jest wrychotwana na traktor. A za to dziesięciu chłopca weźmie się za kosy. Poza tym trzeba, żeby na pole wyszły wszystkie baby i domownicy — masowo!

— Popospolite ruszenie — wyrwało się Kubiniećowi. Skalski zgromił go wzrokiem.

— A kto wczereż ugotuje, a obiad? — zanępkoił się Strójwaj, który lubił sobie podejść.

— Zrobimy kuchnię na polu — polową — odrzekł bez namysłu Pałys.

— A garnki?
Pałys zamienił parę słów z Gawronskim, Gawronski wystąpił ostrożnie, jakby się wstydił i rzekł niepewnie:

— Został z dworskiej kuchni... tak! jeden... co by się pewnie nadawał. Garnuszek niczego sobie, dosyć duży. To starczy na 50 chłopca...

Przerwał, widząc, że wśród zebranych zawrzało jak w kotłach. Przez tłum przedarł się Dudek, za nim jak podpora sterczał tegi Churys. Dudek mówił szybko, lyktał słowa, jąkał się i śmiesznie poruszał ramionami.

— Jak to? Kocioł, kocioł?... A jakęście zapisywali... toście przysięgali... Tyś sam Gawronski... przysięgał... że kotła wspólnego nie!

Nim tłum ochłonął, Dudkowi wpadł w mowę Churys i krzyczał zachrypniętym, strasznym głosem. — Patrzta, ludzie. Nie wierzyliście mi uczciwie! Mnie, com ich przejrzał. A oto mała, wszystko idzie po kolei na udreczenie narodu. Najpierw miały być maszyny. Gdzie są? — pytam. No, gdzie? — rozglądał się na strony, nabrzmiałymi nienawością oczyma. — Nie ma, każą harować palcami gołymi. Mało w dzień, to i w nocy. Wyżyłować. Na tomy szli na spółdzielnię. Na swoim każdy dawniej na czas bez udreczenia zrobił jak należało. Ale i tego mała, tera i na kocioł chcą

Nim tłum ochłonął, Dudkowi wpadł w mowę Churys i krzyczał zachrypniętym, strasznym głosem. — Patrzta, ludzie. Nie wierzyliście mi uczciwie! Mnie, com ich przejrzał. A oto mała, wszystko idzie po kolei na udreczenie narodu. Najpierw miały być maszyny. Gdzie są? — pytam. No, gdzie? — rozglądał się na strony, nabrzmiałymi nienawością oczyma. — Nie ma, każą harować palcami gołymi. Mało w dzień, to i w nocy. Wyżyłować. Na tomy szli na spółdzielnię. Na swoim każdy dawniej na czas bez udreczenia zrobił jak należało. Ale i tego mała, tera i na kocioł chcą

Nim tłum ochłonął, Dudkowi wpadł w mowę Churys i krzyczał zachrypniętym, strasznym głosem. — Patrzta, ludzie. Nie wierzyliście mi uczciwie! Mnie, com ich przejrzał. A oto mała, wszystko idzie po kolei na udreczenie narodu. Najpierw miały być maszyny. Gdzie są? — pytam. No, gdzie? — rozglądał się na strony, nabrzmiałymi nienawością oczyma. — Nie ma, każą harować palcami gołymi. Mało w dzień, to i w nocy. Wyżyłować. Na tomy szli na spółdzielnię. Na swoim każdy dawniej na czas bez udreczenia zrobił jak należało. Ale i tego mała, tera i na kocioł chcą

Nim tłum ochłonął, Dudkowi wpadł w mowę Churys i krzyczał zachrypniętym, strasznym głosem. — Patrzta, ludzie. Nie wierzyliście mi uczciwie! Mnie, com ich przejrzał. A oto mała, wszystko idzie po kolei na udreczenie narodu. Najpierw miały być maszyny. Gdzie są? — pytam. No, gdzie? — rozglądał się na strony, nabrzmiałymi nienawością oczyma. — Nie ma, każą harować palcami gołymi. Mało w dzień, to i w nocy. Wyżyłować. Na tomy szli na spółdzielnię. Na swoim każdy dawniej na czas bez udreczenia zrobił jak należało. Ale i tego mała, tera i na kocioł chcą

Nim tłum ochłonął, Dudkowi wpadł w mowę Churys i krzyczał zachrypniętym, strasznym głosem. — Patrzta, ludzie. Nie wierzyliście mi uczciwie! Mnie, com ich przejrzał. A oto mała, wszystko idzie po kolei na udreczenie narodu. Najpierw miały być maszyny. Gdzie są? — pytam. No, gdzie? — rozglądał się na strony, nabrzmiałymi nienawością oczyma. — Nie ma, każą harować palcami gołymi. Mało w dzień, to i w nocy. Wyżyłować. Na tomy szli na spółdzielnię. Na swoim każdy dawniej na czas bez udreczenia zrobił jak należało. Ale i tego mała, tera i na kocioł chcą

Jan Czarny.

Jo-szi oplakuje syna zabitego przez faszystów

Jo-Szi milczy: jej syn, jej syn-
Jo-Szi płacze: mój syn, mój syn,
Czy był choć jeden taki?
Na żarnach ślady jego rąk
I na motyce ślady rąk,
Jo-Szi się zrywa skoro świt,
A może syn mój jeszcze śpi?
Śpi on na polu pod Phenianem,
Leży na ziemi niezoranej,
Ta ziemia chleba nie urodzi,
Bo po niej żołdak obcy chodzi.
Wieczorem Jo-Szi staje w drzewach,
Błysk nienawiści w oczach drga
Przeklina lunę nad Phenianem.

Pieśń Obrońców Hamyngu

Dzisiaj morze ma kolor czerwony,
Krew się kłębi w morskich odmętach
Wróg nie dotarł do naszej obrony
Sterczą wraki rozbitych okrętów.

Zginie ten, kto chce nogę postawić
Na wybrzeżu przesiąkniętym potem,
Z serc i z dział wystrzelimy nienawiść,
Albo sami legniemy pokotem!

Potrąfimy dno morskie wymościć
Żołdakami zamorskich handlarzy,
Znamy dobrze już smak wolności,
Któż się po nią sięgnąć odważy?

Choć wasz bagnet pierś męnych przewierci,
Choć swą drogę pożogą znacycie,
Każda chwila was zbliża do śmierci,
A nas śmierć nawet zbliża do życia.

Edmund Gonczarski.

Tragarze

Gdy ktoś nie wierzy, nie rozumie
ot jakby nie widział i nie słyszał
— dla niego skorupa ziemi twarda
jest i nieogóscinna.

Słońce judaszem patrzy
zza chmur.
Ziemia i wszystko co na niej
jak orzech do zgryzienia trudny.
Wsi i miast — krajobraz pustynny.
Ludzie, nawet ludzie
sobie obcy, obcy jemu
jakby nie z jednego byli świata.

Ale wiem, inna, inna jest ziemia
za mym oknem szeroka...
Oddycha tysiącem kominów
ponad polami się unosi
mgłą poranną — oddycha ziemia
jak pierś bliskiej istoty.

Pamiętam raz usłyszałem śpiew
tragarzy portowych z Marsylii i okolic,
jak milczenie przed bojem tak groźna
była ta pieśń, i bliska
jakby na własnym śpiewana podwórzu.
Szumiało morze wypełnione po brzegi
— wielkie morze — każda kropla wody
bijąca o brzeg była
jak w puharze wina, który do ust zbliżasz.

O okręcie śpiewali, który naprzódno
wiele dni po falach się niesie,
bo nigdy do portu nie zawinie.
O okręcie, który wiezie morderczą broń
zza oceanu.

O żelaznym statku, który się rozbija
o słowa Thoreza, jak o skały,
o wolę pokój.

Francja go nie przyjmie.
Nikt z nas nie będzie ładował tej broni.

Tu, w Warszawie widziałem ich twarze,
gdy nad brzegiem stali barczyści i mocni.
Powietrze, góry — żadne spiętrzenia gór
nie mogły mi przesłonić
rąk znieruchomiałych nad ładunkiem broni.

Potem z portu szli,
równie łagodnego marszu nie słyszałem
nigdy.

Choć twardy był ich krok,
przecież do snu kłóysał niemowlęta,
dla życia był spokojem
dla ziemi nadzieją, dla zboża wzrostem
twardy ich krok
na marsylijskim bruku opadał
łagodnie, jak na polach rosa.

Pamiętam nawet więcej — gdy szli
każdy koło własnego przechodził domu,
jednego wyglądała matka,
na innego czekała żona.

Nic, nie zrobili tego dnia
mieli uśmiech dziecka, które nabroiło
i z tym uśmiechem przechodzili obok
...Tak szli
Każdy koło naszego przechodził domu.

6 rocznica wyzwolenia Stolicy

Warszawo! Serce Narodu i Stolec Państwa!
Cała Polska żyje dziś radością Twego wyzwolenia!
Krwią najlepszych Twych synów nasiąkły Twe place
i podziemia.

W ruinach legły Twe najpiękniejsze, przez wszystkich nas uwielbiane gmachy, pomniki i ulice. Sprawiała to nienawiść wroga i głupota wsteczników.

Dziś wrócili Ci wolność żołnierze polscy, sprzymiężeni z bratnią Armią Czerwoną, wyzwolicielem narodów uciśnionych.

Miłujący Cię naród nie zapomni o Tobie nigdy!
Przez wieki cześć będą pokolenia Polaków pamięć Twych bohaterskich czynów i twardą wolę Twojej walki o godność i niepodległość.

Zaś demokracja polska przywróci świetność Twym kształtom i sławę swej Stolicy utrwali w twórczym pochodzie ku sprawiedliwemu współżyciu narodów.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej
BOLESŁAW BIERUT

19 stycznia 1945 r.

....Jeżeli ku zdumieniu całego świata bezprzykładnie zniszczone miasto stało się zdolnym do pełnienia roli stolicy Państwa, to było to możliwe tylko dzięki wyjątkowi wszelkich sił w budownictwie. Zrozumieliśmy tutaj jednocześnie, jak niespodziewany potencjał produkcyjny potrafili wykrzesać ze słabego, z zacojanego przecież aparatu produkcyjnego, jaki odziedziczyliśmy po kapitalizmie — zgodna postawa i twórczy wysiłek robotnika budowlanego, inżyniera i architekta pod przewodnictwem przodującego oddziału klasy robotniczej — partii. W wynikach tych tkwi załączek dla dalszych wielkich sukcesów budownictwa przy realizacji planu rozbudowy i przebudowy gospodarczej...

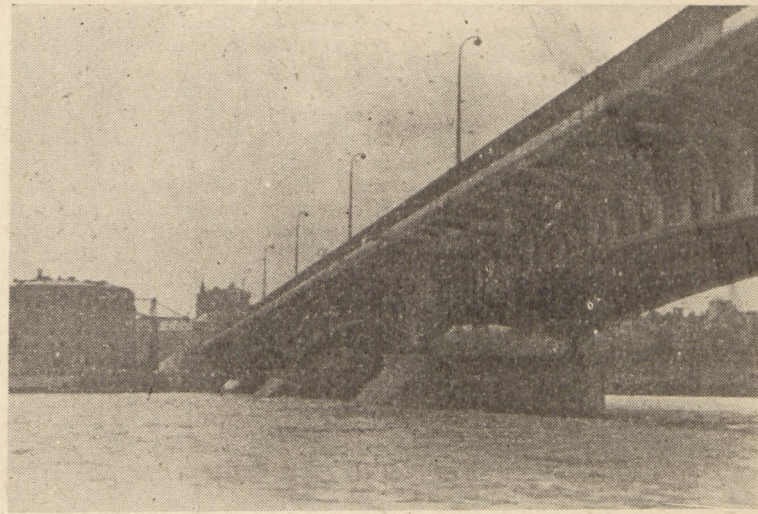
....Nowa Warszawa ma stać się stolicą państwa socjalistycznego. Walka o oblicze ideologiczne naszego miasta musi być prowadzona z całą świadomością i wyjątkiem wszystkich sił w tym kierunku. Nowa Warszawa przez rozwinięcie w niej przemysłu musi się stać poważnym ośrodkiem produkcji, miastem robotniczym....

Prezydent Rzeczypospolitej
BOLESŁAW BIERUT

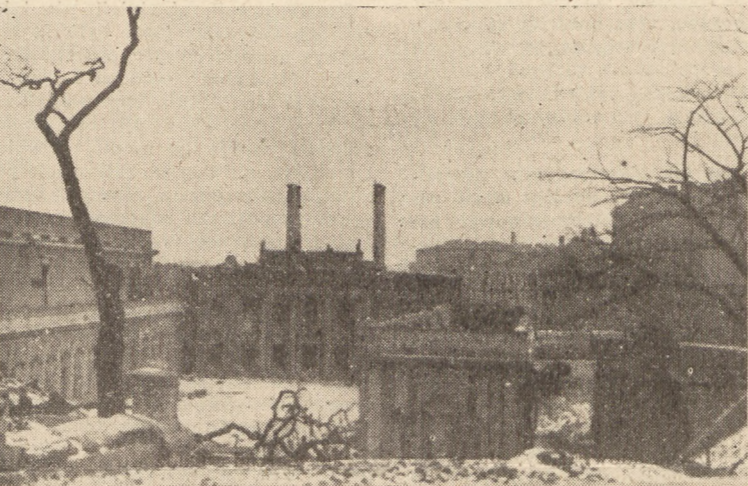
3 lipiec 1949.



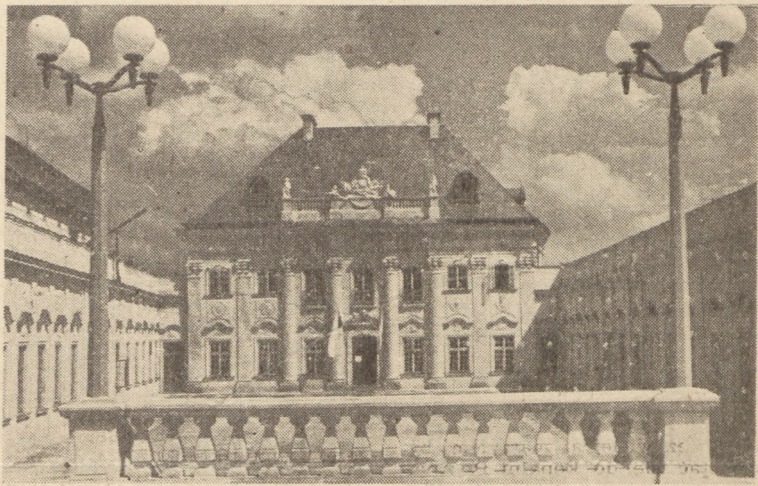
Zniszczony most Kierbedzia w styczniu 1945 r.



Most Śląsko - Dąbrowski w r. 1950



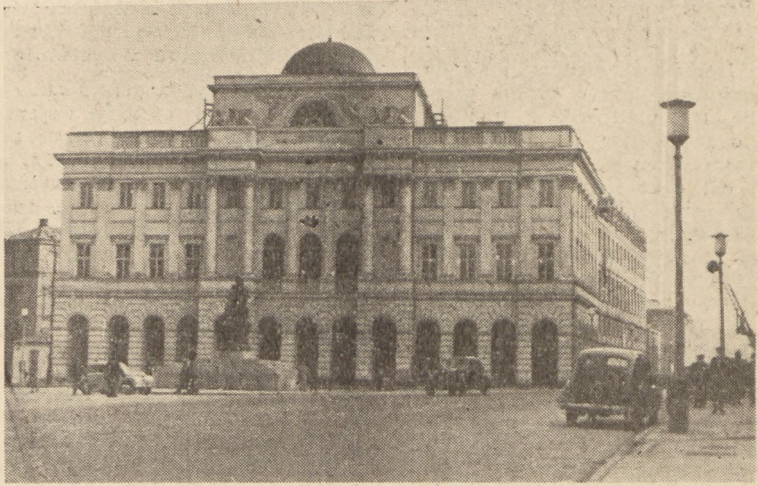
Ruiny Pałacu „Pod Blachą” w styczniu 1945 roku



Odbudowany Pałac „Pod Blachą” w roku 1949



Pałac Staszica w 1945 roku



Pałac Staszica w roku 1950

SŁAWOMIR KRZEMIEN

NOTATNIK WARSZAWSKI

W ubiegłym roku ukazała się na półkach księgarskich książka St. R. Dobrowolskiego pt. „Notatnik Warszawski”. Obejmuje ona zbiór wierszy i nowel, które powstały w latach 1945—49. Zasadniczym tematem książki, wzięciem, który łączy poszczególne utwory w jeden cykl, jest Warszawa. Utwory dotyczą trzech okresów: dwudziestolecia („Moja pierwsza czytelnia”, „Dzień Pierwszy Majowy”, „Poranek literacki”, i in.), okupacji („Pani Górrowa”, „Wieczór pod Drewnicą”, „Mewa”), okresu powojennego („Macte Animo”, „Fandla”, „Trasa radości życia”, „Nie ma dzwonka na przerwie” i inne). Książka samym już tematem budzi zaciekawienie. Pisać o Warszawie — to znaczy pisać o czymś, co jest bardzo bliskie i żywo interesujące nie tylko warszawiaków, ale i tych czytelników, dla których Warszawa jest sercem odbudowującego się kraju, symbolem patosu walki o lepsze jutro. Dlatego z ciekawością i z lekkim drżeniem w sercu bierzemy do ręki każdą książkę, którą określa przymiotnik: warszawski. A nuż to będzie coś naprawdę dobrego?

Jednym z podstawowych zadań ideologicznych dzisiejszej literatury jest walka ze smutnymi pozostałościami okresu międzywojennego w naszej kulturze. Prawdę powiedział ktoś w odniesieniu do pisarzy debiutujących w okresie dwudziestolecia, że nie ma takiego, któryby się choć trochę nie zachłapał, brnąc przez przedwojenne bloki. Nacisk tradycji literatury mieszczańskiej był tak silny, że do dziś wielu pisarzem, nawet silnie związanym z ruchem robotniczym przed wojną i dziś usilnie pracują-

cym nad wypracowaniem soc-realistycznego warsztatu pisarskiego, trudno jest uchronić się przed jego konsekwencjami. Tak jest też z Dobrowolskim. Niezwykle powoli wyzwała się pisarz z nacieków drobnomieszczańskiego sentymentalizmu, w którym roztapiają się i giną, niestety, zresztą akcenty klasowego widzenia rzeczywistości, właściwej oceny ludzi i zjawisk.

Autora wiąże z Warszawą trudne, pełne troski i głodu dzieciństwo robotniczego dziecka, młodość, żmudna, bohaterska walka pod czerwonymi sztandarami, uparta orka lewicowego literata, walka z najeźdźcą i wielkie tworzywo dzisiejszego dnia. Nic dziwnego, że autor pisze o tym wszystkim, jako o czymś, co jest mu najbardziej bliskie sobie. Ale to wszystko nie usprawiedliwi autora z tego, że sentymentalny uśmiechku nie stracił w żadnym momencie: nawet wtedy, gdy opisuje pochod młajowy. W mgiełce sentymentu traci ostrość swojej wymowy los dziecka ulicy, skoro opowiada się o nim z lekką rozrzućnością w oku. Wszystkim nam droga jest Warszawa, ale nie ta Lilpopów. Nie możemy się zgodzić na sentyment dla Warszawy, pojętej jako monolit, Warszawy jako takiej. A taką sugestie — przypuszczam, że zresztą mimo woli autora — narzuca czytelnikowi „Notatnik Warszawski”.

Przyznam się, że nowela zatytułowana „Pani Górrowa”, zdenerwowała mnie. Jest to opowieść o typowej mieszczej, przepukłej, która w czasie okupacji przechowuje u siebie dwoje Żydów. Policja sprawę wysłuchiła i pani Górrowa była w niebez-

pieczeństwie. Mało brakowało — byłaby się znalazła na Szucha. Ale się nie znalazła — puścili ją. Tak więc w cieniu znacznej przepukli, urastającej do symbolu znaczącej „ście warszawskiej” (?), ukryły się rzesze spekulantów, drobnomieszczańskich hien żerujących na zbrodniach faszystów. Tu więc tkwi zasadniczy błąd autorskiej typizacji, dokonanej jak wskazuje data — w r. 1949, t. j. w roku w którym kwestia błędów, związanych z koncepcją „Frontu Narodowego” została już rozstrzygnięta.

Szybkie tempo rozwoju naszego kraju powoduje też szybkość przemian na froncie ideologicznym, coraz czujniejsza i surowsza walka z pozostałościami wrogich ideologii, które wczoraj, jeszcze musieliśmy traktować bardziej pobłażliwie. Gdy na okładce książki zobaczymy rok wydania 1948, to albo to będzie książka wydana już w 48, albo jeszcze w 48, i oszczędzając ją, trzeba koniecznie pamiętać o tej dacie.

Właśnie w 48 roku powstały takie utwory Dobrowolskiego jak „Fandla”, lub „Trasa radości życia”, „Fandla” jest opowieścią o przodowniku pracy, Lesiaku, który przyjechał z Przemysłu do Warszawy i tu osiągnął dobre wyniki, szczególnie dzięki wynalazonemu przez siebie przyrządowi, który nazwał fandlą. Lesiak swoją postawą, zręcznością w pracy przelamuje niefidelną nową kolegię. Po prostu wystarczyło, że zobaczyli dobre wyniki Lesiaka i od razu przekonali się i do współzawodnictwa, do Lesiaka i do jego fandli. Obraz niewątpliwie bardzo uproszczony. Bez konfliktów, bez walki, jak nie z tego, w ciężkim trudzie zmierzającego

do socjalizmu świata. Podobne braki ma „Trasa radości życia”. Tu bohaterem jest dawny robotnik Pawlik, który przyzwyczajony się podczas wojny do handlu i interesów, nie zerwał z tym również po wojnie. W 48 r. wsłójnicy Pawlika „zasypali się” a Pawlik rad nie rad wziął się do roboty przy odbudowie Kierbedzia. W bardzo szybkim tempie następuje przemiana tego handlarza walutą. Nie wiadomo co prawda w jaki sposób, ale staje się pełnowartościowym robotnikiem, twórcą nowego życia. Ciekawe? Ciekawe. Ale naprawdę wywołuje wrażenie obrazka z nieprawdy wrogo zdarzenia.

Ale nam też nie wolno upraszczać zagadnienia, zapominając, że to jest rok 48. Pisać te obrazki, autor był awanturą. Bo nowatorstwem było wtedy sięganie do takiego tematu, próba oddania rodzącego się ruchu współzawodnictwa. Bez żadnych doświadczeń literackich — ze skromnym doświadczeniem życiowym jasne, że obraz musi być uproszczony, schematyczny, zawieszony trochę w próżni. Ale samo już postawienie tematu jest świadectwem wejścia na właściwą drogę. Tym bardziej, że droga ta wiedzie prosto do wiersza, który jest zatytułowany „Nie ma dzwonka na przerwie”. Droga prosta i słusna. O tym wierszu można śmiało powiedzieć, że jest naprawdę dobry. Nie ma dzwonka na przerwie, walka trwa. Potrzebna jest dobra poezja, potrzebne są dobre książki, które by słusznie stawiały słuszne sprawy — i w słuszny sposób dawały wyraz miłości do miasta, będącego symbolem walki, pracy i nadziei.

Sławomir Krzemię

ILJA ERENBURG

PRZEŁOM^{*)}

JESLI można wierzyć reporterom z całego świata, nie wydarzyło się nic szczególnego w ostatnich tygodniach 1950 roku. Tak jak co rok przestarzały skandynawski meżowie opatrnościowi rozstrzygnęli komu przydzielić nagrodę Nobla. Tym razem został nią zaszczycony przestarzały angielski „mał opatrnościowy” Bertrand Russell, który oświadczył, że jest głęboko wzruszony nagrodą i święcie wierzy w zbawcze właściwości wyszczelniającej bomby atomowej. Etna wybuchła i zalała lawą kilka wsi. Parlament francuski przyznał, że pan Jules Moch ma niezły rozum i jest zamieszany w kolejną afere czekową. Nad Ameryką przeszła silna burza, która poczyniła straty na sto milionów dolarów. Król duński przybywszy do Paryża ofiarował prezydentowi Francji „order Słońca”. W Barcelonie odbyło się inauguracyjne zebranie „Towarzystwa obrony prawnych żon od mężów nalożników”. Wszystko to mogło się wydarzyć równie dobrze pół wieku temu.

Można wątpić czy historycy przyszłości zainteresują się toastami pana Bertranda Russella lub iluzjami pań z Barcelony: koniec 1950 roku stanie przed nim jako jedna z najbardziej patetycznych kart historii, gdy pojedynk między siłami śmierci i siłami życia dosięgnął najwyższego napięcia.

Zaledwie skończyła się druga wojna światowa, gdy niektórzy politycy Stanów Zjednoczonych zaczęli mówić o nowej wojnie; lata powojenne zmieniły oni na przedwojenne. Panowie ci wzywali do nowej wojny opierając się na najrozmaitszych pretekstach: to trzeba było powstrzymać radzieckie czolgi, które jakoby szły na Teheran, to dla uratowania pana Tsaidarisa należało zniszczyć kraje sąsiadujące z Grecją. Panowie, którzy pragnęli za wszelką cenę walczyć, proponowali iść do boju w obronie Turcji, w obronie węgierskiego kardynała, w obronie świętych praw maklerów zachodniego Berlina do spekulowania „wschodnią marką”. Kłaniali oni zawsze tak samo i podjudzali bez polotu, nie mieli czasu na wyszukiwanie odpowiednich powodów — zbyt byli pochłonięci jedną sprawą: w wojnie widzieli swoje ocalenie.

Najbardziej niecierpliwymi, najbardziej szalenymi mówili o „wojnie prewencyjnej”, przyznawali, że mało ich obchodzi los węgierskiego kardynała, lub zyski spekulatorów berlińskich, że trwożą ich nie rzekome radzieckie czolgi, idące na Teheran, ale najzupełniej realne miliony zwolenników pokoju we Francji, Włoszech, w krajach Ameryki Łacińskiej. Nie ukrywali, że nie chodzi tu o radzieckie łodzie podwodne, które przywdziały się jakielś wenezuelskiemu locmanowi, kiedy spłi się do białej gorączki, lecz o groźne przebudzenie się niewolników w koloniach, o zwycięstwo narodów Azji, o zbliżanie się nowej ery ludzkości. Mówili oni otwarcie, że chodzi nie o straty poniesione przez spekulatorów berlińskich, lecz o kryzys, który grozi Nowemu Światu. Twierdzili niejednokrotnie, że niepokoi ich nie tyle bliskość Władystostoku od Alaski co bliskość ery komunizacyjnej i że gdyby pozostawić Związkowi Radzieckiemu dwadzieścia lat pokoju, to spór pomiędzy systemami zostałby rozstrzygnięty nie na ogromnych polach bitew, ale w mózgowym przeciętym Amerykanina. Po zostaje tylko jedno wyjście — mówili najbardziej niecierpliwymi lub najbardziej szalenymi — rozpocząć wojnę natychmiast.

Inni, jeśli nie bardziej cierpliwi, to rozsądniejsi zgadzając się ze zwolennikami „wojny prewencyjnej” wyrażali się ostrożnie i starali się przedstawić jako ludzie milujący pokój. Pan Truman kierując w ciągu szeregu lat wieloma przedsięwzięciami mającymi na celu przyspieszenie wojny, nie przestawał mówić o swoim przywiązaniu do pokoju. Aż do ostatniego czasu nie przekraczał on miary w swoich publicznych wystąpieniach. (Zapoznawszy się niedawno z opublikowanym przez gazety amerykańskie niezmiernie charakterystycznym listem do pewnego krytyka muzycznego widzę dopiero, z jakim trudem utrzymywał pan Truman taką wstrzemięliwość). Zajmując się powlecznymi trasami bombardowań panowie ci, nie zapominali przesyłać w powietrzu pocisków. Grali na sentymentach ludzkich i błagali o pomoc Pana Boga; u siebie rozmazali bakterie dżumy, a jeżeli wzywali kogoś na pomoc, to najzupełniej ziemskiego generała Guderiana. Przygotowując się przez wiele lat do wojny, mówili o pokoju. Tylko najniecierpliwsi i najbardziej szaleni gardzili tymi słownymi maskami. Można było powiedzieć: co pan Truman miał w głowie, to panowie Matthews lub Griffin na języku. Jedni nazywali przygotowanie do agresji „obroną”, inni mówili wprost o „wojnie prewencyjnej”; i ci i tamci opierali wszystkie swoje nadzieje na wojnie. — Marzyli o tym, aby spalić, obrócić w popiół, zniszczyć przyszłość.

Tu można by wspomnieć o pewnym zajęciu związanym z pojęciem „metody prewencyjnej”, która tak nęci polityków Stanów Zjednoczonych. Jak wiadomo w końcu 1950 roku wojskom amerykańskim zdobywców zdarzyła się pewna nieprzyjemność. 24 listopada generał Mac Arthur podpisując rozkaz o generalnej ofensywie oświadczył, że jego „chłopcy” będą świętować Boże Na-

rodzenie w swoich domach. Kore-spondenci gazet francuskich donosili z Washingtonu, że „ofensywa została przedsięwzięta po starannych przygotowaniach”, że „wszystko zostało wyliczone i rozważone”, że „można uważać rozpoczętą bitwę za wygraną”. Trzy dni potem ci sami korespondenci pisali, że w Washingtonie sytuację ocenia się jako krytyczną, że w północnej Korei rozegrała się tragedia i że „generał Mac Arthur tłumaczy rozpoczętą przez siebie ofensywę jako operację prewencyjną wywołaną okolicznościami”. Wreszcie 30 listopada wszyscy ci sami korespondenci donosili: „W Washingtonie panuje zdumienie, jak generał Mac Arthur mógł się zdecydować na tak ryzykowną operację i jak Pentagon pozwolił mu igrać z ogniem.”

Nie chcę ani umniejszać, ani przesadzać ważności wojny w Korei, wiem że obywatel amerykański starannie okłamywany przez prasę, mało uświadomiony o tym, co dzieje się poza granicami jego kraju, zapewne nie od razu wyprowadził wnioski z wydarzeń w Korei. Wojna, która zniszczyła daleki kraj przyniosła mu iluzję dobrobytu: interesy jego paprawiły, fabryki zawałone były zamówieniami, w sklepach nie można się było opędzić od kupujących. Obywatel pociesza się tym, że zwała na kogoś winę: Smith z 52 ulicy, który głosuje na republikanów uważa, że sprawę zaprzęślił pan Acheson i dyplomaci, Smith z 53 ulicy, który głosuje za demokratów uważa, że winnymi kłeski są generał Mac Arthur i wojskowi; obaj Smithowie są przy tym przekonani, że „w krytycznej godzinie angielscy egoiści i francuskie lekkoduchy zdradziły wielkoduszną Amerykę” — wyczytali to w swoich gazetach. Obywatel amerykański zdumiony i przynębiący wiadomościami z Korei nie zrozumiał jeszcze, że nie idzie tu o tępotę tego lub innego dyplomaty czy głupotę tego lub innego generała, ale o przesłabość i beznadziejność samej idei — powstrzymania siłą oręża zbudzonej Azji, której narody chcą żyć własnym życiem.

Wiem, że obywatel amerykański, będąc uczciwym i spokojnym człowiekiem zrozumie, jeśli nie jutro to za rok lub dwa, dokąd zaprowadzi go bezmyślni przewodnicy. Nie czynię zarzutów amerykańskiemu obywatelowi, ale co powiedzie o tych, co rządzą Ameryką przejęci strachem i wściekłością, o tych, którzy stracili ostatnie okrzyki zdrowego rozsądku. Nigdy jeszcze ani pan Truman, ani otaczający go dyplomaci i wojskowi, nie dochodzili do tak nieprzemysłanych i nieostrożnych słów jak w ostatnich tygodniach 1950 roku. Pan Truman ogłosił w swoim kraju „stan nadzwyczajny” i nikt tym razem nie wyraził zdumienia, dlaczego pozwala się głowie państwa igrać z ogniem.

Do końca listopada gazety amerykańskie określały operacje wojenne w Korei jako zdarzenia światowej doniosłości; teraz nazywają walki w Korei „wojną lokalną”. Powtarzają, nie mam zamiaru przesadzać znaczenia wojny koreańskiej. Jeśli amerykańscy dziennikarze chcą nazwać ją wojną lokalną, niech nazywają — podłość może być także „lokalna”. Można było jednak spodziewać się, że przebolawszy kłeskę w „lokalnej wojnie” amerykańscy politycy opamiętają się, postuchają trzęsącego głosu zwolenników pokoju. Tymczasem panowie ci, nie zdążywszy nawet przegrać „wojny lokalnej”, żądają rozpoczęcia wojny światowej. Mówiąc, że Amerykanie „nie mają zamiaru więcej wszczynać wojen na peryferiach”, gazeta „Washington Post” radzi rozpocząć natychmiast działania wojenne przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Członkowie parlamentu na wyścigi krzyczą o bombie atomowej. Przypomina to wszystko bredzenie paranoika, jest to jednakże polityka wielkiego państwa. Sparzywszy się mlekiem, nie dmuchają na wodę, oni rwą się do rozpalonego kotła.

Skąd ten strach, skąd te szalone pogroźki i przekleństwa, czy niepowodzenia w „wojnie lokalnej” wprowadziły z równowagi rządzących silnym mocarstwem? Co ich tak rozgniewało? Zaciętość małego narodu koreańskiego? Czy też istnienie Chin, którego nie chcą uznać ani Equador ani Panama i które jednakże istnieją bez licencji pana Trumana? Czy też być może panujący Ameryką wyprowadza z równowagi stosunek do nich obywateli tych krajów, które są uważane za sojuszników? Nie na darmo wszystkie amerykańskie gazety krzyczą o „czarnej niewdzięczności przyjaciół”. Członkowie Kongresu obliczają, ile dolarów dał swoim sojusznikom i ile żołnierzy otrzymali od tych sojuszników. Geszefciarze amerykańscy ciągle jeszcze nie rozumieją, że jest już połowa XX wieku, że proci ludzkie zmyśli, że nie można dziś nawet za miliardy dolarów otrzymać milionów ludzkich istnień. Narody różnych krajów coraz głośniejszymi wstępują przeciwko wojnie. Głosy ich nie dają zasnąć nerwowym rzeszom Białego Domu. Należy za wszelką cenę ukroczyć ruch w obronie pokoju — mówi pan Truman. Rozpocząć wojnę, aby nie dopuścić do pokoju. Taki jest ostatni pomysł prewencyjnych strategów i dyplomatów.

Kierownicy Stanów Zjednoczonych rozporządzają wielką władzą. Pan Truman ma prawo ogłosić stan nadzwyczajny nie tylko w swoim kraju, ale także w Islandii, w Chile, na Fl-

lipinach, wszędzie, gdzie mu się podoba. Jeśli pan Truman oświadczy jutro, że należy poddać blokadzie księżyc i nawliwać stosunki z cesarzem Chaldei Nabuchodonozorem delegaci czterdziestu państw będą pokornie głosić za tym mądrym wnioskiem. Gdy pan Atlee spróbował wspomnieć, że jest jak by nie było, premierem niepodległego i wielkiego państwa, wezwano go do Washingtonu i pan Atlee czym prędzej oświadczył, że zgadza się ze wszystkim z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pan Truman może wszystko, nie może tylko uczynić jednego, właśnie tego, o czym marzą kierownicy Ameryki, nie może zmusić narodów do wojny. Będąc wszechmocnym, jest bezsilnym. Mógł podyktować Organizacji Narodów Zjednoczonych decyzję rozpoczęcia działań wojennych w Korei. Mógł kupić sobie cudzy sztandar — dano mu sztandar. Uzyskał poparcie rządów; były powitania, gratulacje, mowy; nie znalazła się tylko armia, nikt bowiem nie zechciał umierać za prestiż chciwej Ameryki. Nowa Zelandia posłała generała, w Mac Arthurowi zamiast żołnierzy worek grochu, a Islandia wielkodusznym pocztowca rachitycznych nadludzi rybitm tuszczem.

Diaczego ludzie zdawali by się tak całkowicie oddani panu Trumanowi jak pan Bevin, pan Schuman i pan De Gasperi, są tak ostrożni? Amerykanie obwiniają ich niesłusznie: nie dostarczają oni żołnierzy nie dlatego, że nie chcą, a dlatego, że nie mogą. Nie mieszczą oni w Białym Domu, lecz w Londynie, Paryżu, Rzymie; muszą się liczyć z wolą swoich narodów. Po koniec 1950 roku siły pokój wzmogły się; przyczyniły się do tego nie tylko zbrodnie generała Mac Arthura, ale także całe zachowanie się pretendentów do panowania nad światem, którzy do reszty utracili zdrowy rozsądek. Im silniejszy jest ruch pokoju, tym bardziej czyniciele i grubiańsko postępują pan Truman i jego szeryfowie z różnych krajów; im bardziej czyniciele i grubiańsko oni postępują, tym silniejszy staje się ruch pokoju.

Czy trzeba jeszcze raz przypominać, jak bardzo pomógł siłom pokoju pan Atlee, który usiłował nie dopuścić do międzynarodowego Kongresu? Osmego listopada znaną działacze religijni i kulturalni USA, biskupi Kalifornii, Massachusetts, Atlanty, profesorowie Morrison, Rozbieri, Kerison wysłali do pana Atlee depeszę gratulacyjną. Pisali oni: „Jesteśmy szczęśliwi, że Kongres Pokoju odbędzie się w Scheffield. Wielka Brytania jest matką naszych swobód i trudno było wybrać miejsce bardziej odpowiednie dla tak ważnego wydarzenia. Spodziewamy się, że pan wystąpi na Kongresie osobiście z programem pokoju”. Mgliste dni listopada przyniosły wyjaśnienie. Otrzymałszy depeszę pan Atlee rzeczywiście wystąpił, tylko nie z programem pokoju lecz z dzwicznym okrzykiem dzierzymordy: „Precz!” Wszystko zostało puszzone w ruch: konsulowie odmawiali wiz, żandarni dwudziestu krajów mysklowali z pistoletami i pałkami, polijanci przeszukiwali okręty, zamknięte zostały granice, zmienione rejsy samolotów. Biali gołabek pokoju, ten symbol stworzony natchnieniem Picassa, symbol który stał się nadzieją prostych ludzi całego świata, biały gołabek, zdawało się, trzępotał się w sidłach. Cóż osiągnęli przeciwnicy pokoju? Nie złapali oni, nie mogli złapać gołabka, w ciągu jednego listopada tygodnia liczba zwolenników pokoju wzrosła w dwójnasób. Przejrzeli biskupi i profesorowie, ci co kopia ziemię i uprawiają winnice, starzy marynarze i młodzieńcze robotnice, przeżyli miliony zwykłych ludzi.

Kongres warszawski nie był huźną demonstracją lecz spokojnym robotycznym zebraniem rzeczywistych przedstawicieli narodów świadomych swej siły, które rozumiały, że w ich możliwościach leży niedopuszczenie do wojny. Amerykańskie i amerykańizujące gazety usiłowały przemilczeć to tak ważne wydarzenie; lecz ruch pokoju przestał być już sprawą partii stał się, ruchem całych narodów, a czyż można ukryć przed narodem jego własne marzenia, jego wolę, jego drogę?

Do sił pokoju należą teraz i wielcy myśliciele, kwiat ludzkości i setki milionów zwykłych ludzi wszystkich klas, wszystkich ras, wszystkich wierzzeń; dlatego właśnie na Kongresie warszawskim siedzieli obok komunistów socjaliści, liberałowie, konserwatyści, Amerykanie obok Koreańczyków, delegaci Vietnamu obok Francuzów, uczeni pracujący nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej obok starego poety-bajarza indyjskiego, który po raz pierwszy opuścił rodzinną wieś, Pan Truman dobieł zdaje sobie sprawę z tego, jaką rolę odegrał Kongres warszawski w walce o pokój. Rozdrażnieni Amerykanie nie przepuścili przez Niemcy Zachodnie Fryderyka Joliot-Curie powracającego do Paryża; zmusili Czechosłowację do przetrwania komunikacji powietrznej z Włochami i Szwajcarią motywując to tym, że część delegatów korzystała w podróży do Warszawy z samolotów czechosłowackich. Drobną, żalną zemsta, godna oszalałych maniaków.

Kierownicy Ameryki w ciągu szeregu lat próbowali siłą oręża utrzymać Chiny; straciliśmy je i zrozumiałe, że naród chiński nie chce handlować ani swoją ziemią ani swoją niepodległością. Amerykanie postanowili ogłosić to wielkie państwo za nieistniejące. Jednocześnie wsunę-

li do swej dość pojemnej kieszeni wielką wyspę chińską, nie omieszkawszy przy tym wspomnieć o swojej szlachetności, zgodnie ze starym przysłowiem — dobry złodziej nie nie ukradnie bez modlitwy. Po koniec 1950 roku Amerykanie mieli sposobność przekonać się, że unicestwienie przez nich Chiny istnieje i że Chińczycy bynajmniej nie zapomnieli o swojej wyspie. Pragnąc osłodzić sobie nieco gorzkie utraty Chin, pan Truman zatrzymał swoją uwagę na Korei, i znowu omylił się: w Korei znaleźli się Koreańczycy, których w żaden sposób nie nęcił los mieszańców Filipin lub Porto Rico. Matki tych „chłopców” Mac Arthura, którzy nie wrócili na Boże Narodzenie i którzy już nigdy nie wrócą, mogą zapytać pana Trumana, za co zgineły ich dzieci w dalekim i obcym kraju.

„Dając do tego, aby za wszelką cenę utrzymać swój prestiż w Azji, ryzykujemy utratę naszych przyjaciół w Europie” — pisała gazeta „New York Post”. Przestrogi te nie doszły ani do generała Mac Arthura ani do pana Trumana. 24 listopada angielska gazeta „News Chronicle” w zaniepokojeniu podkreślała: „Generał Mac Arthur jest świetnym strategiem, ale złym dyplomata”. Pięć dni później cały świat mógł ocenić strategiczne talenty wyżej wymienionego generała. Komplementy ustaly, wzmogły się zato napaści. Pan Sirius w gazecie „Mondé” pisał w swoim czasie, że bombardowanie miast koreańskich kwalifikuje się jako przestępstwo wojenne „Populaire” zamieścił korespondencję z Londynu, w której pisało, że „Anglicy o poglądach umiarkowanych coraz bardziej lekają się skrajności, do jakich zdolni są wojskowi amerykańscy. W Londynie uważają, że klan Mac Arthura daży do wojny prewencyjnej”.

Europejczyści obwiniali nie tylko jednego generała: jasne było, że Mac Arthur posiada silnych popleczników. Gazeta „Combat” mówiła o tym, że „generał Mac Arthur zaprowadził nas w ślepa uliczkę”, wyjaśniała: „wszystkiemu winne są ambicje osobiste i polityka siły”. Inna, całkowicie amerykańska gazeta „Aurore” umiejscawiała centrum schorzenia: „pozycja zajęta przez Washington niesłychanie nas niepokoi”. Największe oburzenie wywołała deklaracja pana Trumana pełna historycznych pogroźek i głupiego samochwalstwa. W Paryżu rozpoczęły się strajki protestacyjne. W Rzymie burzliwa demonstracja skierowała się w stronę budynków poselstwa amerykańskiego. Wszędzie urzędy miejskie i różne organy samorządowe, wiecie obywatelskie w setkach rezolucji osądzały oświadczenie pana Trumana. Stu delegatów laborystów oświadczyło, że jeśli pan Truman zrealizuje swoje pogroźki, wojska angielskie powinny natychmiast opuścić Koreę. Nawet minister spraw zagranicznych Kanady czym prędzej zaczął się odgradzać od pana Trumana.

Nie ma co, kanadyjski minister szybko zostanie przywołany do porządku; wielu z setki delegatów laborystów pohalauszy i uspokoił się, ale nie uspokoją się górniczy Wellis, Skotlandii, nie uspokoją się robotnicy paryscy, nie uspokoją się chłopcy włoscy, nie uspokoją się narody Europy. Pan Truman potrafił dogadać się z panem Atlee, odbyło się to bez trudności. O ile trudniej będzie panu Trumanowi dogadać się z narodem angielskim, któremu rządzący Ameryki proponują niezbyt pochlebną rolę landsknehta. Panowie z Białego Domu powinni wreszcie zrozumieć, że narody, to nie pan Atlee.

„New York Times” pisze: „jeśli pójdziemy zbyt daleko stracimy naszych sojuszników”. Późno się spostregli. Watpliwie, czy panu Trumanowi wystarczy sojusz z panem Atlee albo z panem Schumanem. Ze wszystkich ministrów i wice-ministrów paktu atlantyckiego trudno byłoby skleić jeden karny batalion.

Próbując pocieszyć swoich czytelników gazety amerykańskie oczerniają Europę: to są te zielone winogrona. „Chicago Tribune” postanowiła zdemaskować niewdzięcznych Francuzów: „Przeszło Francji nie wzbudza do niej żadnego zaufania... W 1917 roku tylko amerykański korpus ekspedycyjny ocalił sytuację... Francuzi mniej niż ktokolwiek inny mają prawo odpowiadać Amerykanom, co robić a czego nie robić dla obrony Zachodu”. Nawet taka amerykańzująca gazeta jak „Figaro” oburzyła się: „W 1917 roku pierwsze amerykańskie oddziały zjawily się na froncie nie po to, aby „ocalić sytuację” ale po to, aby wziąć udział w końcowych walkach”.

Wymiana uprzejmości trwa. Czeladź szemrze na pana nie tylko dlatego, że pan jest chciwy i ordynarny, ale dlatego także, że pan Truman nie okazał się Jowiszem a Mac Arthur — Napoleonem. Czeladź poszemrze i umilknie. Co innego jest w tym pouczające: jak chorobliwie nadludzie amerykańscy reagują na każdy nawet najbardziej nieśmiały sprzeciw jakiegokolwiek mieszkańca Europy. Dla zwolenników wojny prewencyjnej groźni są nie dziennikarze amerykańskich gazet, groźni są ich czytelnicy. We Francji, we Włoszech, coraz częściej podnoszą się głosy ludzi jeszcze niedawno zwolenników paktu atlantyckiego, a teraz wycofujących się na pozycje neutralności. Ludzie ci rozumieją, że za słowami „o obronie Zachodu” ukrywają się plany wojny prewencyjnej i żaden Anglik czy to posiadacz fabryki tekstylnej, inżynier czy tkacz nie chce

ACHMED DŻAMIL
(Azerbejdżan)PORYW GNIEWU
OGARNIA NARODY

Jeszcze nad ziemią przez krwawy opar zniszczeń
Swiętych pożarów smutny dym się kolyse,
Jeszcze nie rodzą popioły pół wypalonych do szczętu,
Jeszcze nieznaną jest liczba na dno strąconych okrętów,
Jeszcze w koloniach dalekich wciąż garnizony stoją
Nadal daleko od domu amerykański wojak
I nie przestała jeszcze dzień w dzień wspominać
Oślepiła mat'a zastrzelonego w okopach syna.
W pogorzeliżkach brzozowe krzyże bieleją na grobach,
Na asfalt stolicie cień rzuca milczących kobiet żaloba.
Doprawdy, koszar tych czasów pamięć na długo zatrzyma.
Dziś na zachodzie jak dawniej niebo w posepnych dymach.

I niebo a niebo od nieszczęść zbiegale,
Nadciąga daleki parowiec z za morza.
Szlak jego — krew,
Szlak jego — śmierć,
Szlak jego — pożar.

Dla Europy dary od Washingtonu.
Lecz to nie mąka, tylko pocisków tony.
Nadciąga daleki parowiec z za morza.
Szlak jego — krew,
Szlak jego — śmierć,
Szlak jego — pożar.

Za ciemną chmurą skrył się łagodny księżyc.
O burtę fala bije i sterom cięży
I marynarzy wzywa jej ostry zalew:
„Co szybciej w tył zawróćcie,
Ni mili dalej!”

Ich głos potężnym echem na świat się zwał:
„Co szybciej w tył zawróćcie,
Ni mili dalej!”
„W tył!” — zabrzmiał rozkaz Aten i Berlina,
„W tył!” — wzywa Szang-haj w wyzwolonych Chinach,
„W tył!” — rozkazuje z nad skał Oceanu
Zesłaniec Tauryzny
I jeniec z Viet-namu.

O burtę fala tłucze i sterom cięży.
W piorunie fali
Wyczuwasz wolę, z którą lud nasz zwycięży.
„Ni mili dalej!
Co szybciej w tył zawróćcie,
Dość gorzkich lat!
Nie będzie odtąd waszym
Parobkiem świat!”

I poryw gniewu ogarnia narody.
Już rozłamana strajkami Italia
I strąca skrzynię z orężem do wody
W Marsylii zbuntowany proletariet.
— Dajcie nam chleb i pracę, nie szrapnele.
Mieszczkańskie domy dziś szczerlnie zamknięte.
Gniazda barykad Neapol zaściele

I zamarł transport z śmiercionośnym sprzętem.
Ale jak wyżyć w ustawicznym głodzie?
Czart takie życie wymyślił! Przed senat
Ciagną kobiety w posepnym pochodzie
I przeklinają Churchilla, Trumana.
Wzdłuż magistrałi chmurne pieśni płyną:
„Nie dla rzezi bezsensownej
Zycie dawaliśmy synom.”

O bruki Marsylii i Paryża
Szybciej niż dźwięk,
Ostrzej niż blask
Okrzyk na kształt gromu uderza:
„Cześć i Sława
I Pokój
Republike Rad!”
I biegnie z antypodów w polarne wybrzeża
Wspólny okrzyk, pogodny jakby — pieśń skrzydłata:
„Niech żyje Towarzysz Stalin,
Pierwszy w walce
O Pokój
I radość świata.”

przełożył TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

aby jego kraj stał się wielkim amerykańskim lotniskiem skazanym w wypadku wojny na zniszczenie. Żaden Francuz czy to radykał czy katolik, nie chce aby kwiat narodu francuskiego ginał zdobywając ramię przy ramieniu z hitlerowcami. Wrocław dla pana Adenauera a całą kuę ziemską dla pana Trumana. Siły pokoju rosną szybko, a koniec 1950 roku ma pełne prawo do nazwy przełomu. Jeżeli w ostatnich tygodniach przeżytego przez nas burzliwego roku pan Truman doszedł do tak bardzo wzywających słów, do jawnego przygotowania napaści, to zwolennicy pokoju ze świadomością swej zwiększonej mocy przestrzegali kierowników Ameryki, że narody nie dopuszczą do obmyślenia przez p. Trumana i jego otoczenie zbrodni.

Rozpocząć mogą, nikt już nie może liczyć na zdrowy rozum tych panów. Ale jeśli ośmiela się rozpocząć, zbrodnia przed sądem narodów. Nie ma bowiem większej poszlaki zbrodni jak samo pojęcie wojny prewencyjnej. Wojny nie można uniknąć przez wojnę, wojny można uniknąć tylko poprzez pokój. Istnieją prewencyjne szpecielniki, nie ma i nie może być prewencyjnej dżumy lub prewencyjnej cholery. Można i należy riedopuszczać do katastrofy, ale nie wolno wywoływać katastrofy usprawiedliwiającej tym, że czyni się to dla jej uniknięcia.

Koniec 1950 roku przyniósł ludzkości wielki niepokój i wielką nadzieję. Nigdy złowieszczy cień nowej wojny nie podkładał się tak blisko do oświetlonych okien domu, w którym matka pochylała się nad swoim pierworodnym. Ale nigdy jeszcze zwykły człowiek, który poprzyściągł sobie ochrone wszystkie dzieci świata od czarnego cienia wojny, nie miał tyle zapału, tyle woli, tyle siły.

Ilja Erenburg

*) Artykuł tłumaczony z pisma „Kultura i Zizn”, 31 grudnia 1950.

W 32 ROCZNICĘ ŚMIERCI „PORZĄDEK PANUJE W BERLINIE”

LEONARD WALLICHT

HISTORIA JEDNEJ MŁODOŚCI

(Ostatni przedśmiertny artykuł Róży Luksemburg)



Róża Luksenburg

„Porządek panuje w Berlinie” — obwieszcza triumfalnie burżuazyjna prasa, obwieszcza Ebert i Noske, obwieszcza oficerowie „zwycięskiej armii”, których burżuazyjna banda wita radośnie na ulicach Berlina powiewającymi chorągiewkami i krzykami „hurra!” Czesi i stawa oręża niemieckiego przed sądem historii świata uratowana. Pokonani na polach Flandrii i w Agronach, zrehabilitowali się dzięki wspalanemu zwycięstwu nad 300 spartakowcami w gmachu „Vorwärts”. Czas pierwszy wojenny wkroczenia wojsk niemieckich do Belgii, czasy generała von Emmicha, pogromcy Liège, błędną wobec bolaterskich czynów Reinhardta i Co. na ulicach Berlina. Zabicie parlamentarzysty prowadzącego rozmowy o zdanu się „Vorwärts”, bicie ich do nieprzytomności kolbami, zamaskowanie do tego stopnia, że nie można było rozpoznać trupów; rozstrzelanie jeńców w ten sposób, że ściany zrywane były młotami — czyż w obliczu tak sławnych czynów może ktoś jeszcze wspominać o haniebnych klęskach poniesionych w wojnie z Francuzami, Anglikami i Amerykanami? „Spartakus” — to wróg, a Berlin — to miejsce, gdzie nasi oficerowie umieją zwyciężać. „Robotnik” — Noske — to wódz, który potrafi osiągnąć zwycięstwo tam, gdzie nie mogli dać sobie rady generał Lüdemorf.

„Porządek panuje w Warszawie”, „Porządek panuje w Paryżu”, „Porządek panuje w Berlinie”. Podobne obwieszczenia „obrońców porządku” pojawiają się w każdym punkcie tu i tam, to w innym centrum walki klasowej. Ale triumfujący „zwycięzcy” nie spostrzegają, że ów porządek, wzmianczony raz po raz krwawą rzezią, bezustannie idzie ku swemu historycznemu losowi, ku ostatecznej zagładzie. Co przedstawia sobą, co daje nam, czego uczy nas ostatni „spartakowski tydzień” w Berlinie? Jeszcze wśród walki, jeszcze wśród zwycięskiego szumu kontrrewolucji, proletariatu winien zrobić

sobie rachunek wydarzeń, powinien zmierzyć wszystko co się stało wielką, historyczną miarą.

Czy w danym wypadku możliwe było ostateczne zwycięstwo rewolucyjnego proletariatu, czy było możliwe ocalenie Ebertów i Scheidemannów i ustanowienie dyktatury socjalistycznej? Z pewnością nie, jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie decydujące momenty. Chore miejsce rewolucji, jakim była w danym momencie niedojrzałość polityczna mas robotniczych, które wciąż jeszcze pozostawały oficerom wykorzystywać się dla wrogich ludzi, kontrrewolucyjnych celów, była już sama dostatecznym warunkiem niemożliwości trwałego zwycięstwa. Z drugiej jednak strony ów brak świadomości mas robotniczych jest tylko symptomem ogólnej niedojrzałości niemieckiej rewolucji.

Więsz, z której wywodzi się znaczna część masy robotniczej, jest jeszcze jak dawnej, bardzo mało poruszona rewolucją. Berlin jest nadal prawie izolowany od reszty Niemiec, wprawdzie bowiem rewolucyjny centrum prowincji — w Nadrenii, na Pomorzu, w Brunswiku, w Saksonii, w Wirtembergii — ciałem i duszą stoją po stronie berlińskiego proletariatu, ale wszystkimu temu brak jeszcze odpowiedniego stopnia zorganizowania, brak tej powszechności ruchu, która byłaby w stanie wzmocnić decydująco uderzenie berlińskich mas robotniczych. A przy tym walka ekonomiczna, owo główne walkaczne źródło, z którego czerpie rewolucyjna walka klasowa, znajduje się tam dopiero w początkowym stadium rozwoju.

Ze wszystkich tego wynika, że w danym momencie nie można było jeszcze liczyć na trwałe zwycięstwo. Ale czy nie należy stąd wywnioskować, że walka poprzedniego tygodnia była „pomyślną”?

Stojąc przed faktem podłej prowokacji Ebertów i Scheidemannów rewolucyjnej masy robotniczej były zmieszane chwycić za broń. Tak, honor rewolucji wymagał natychmiastowego odparcia owej napaści bez względu na ofiarę, w przeciwnym bowiem razie kontrrewolucja nabrałaby odwagi do dalszych ataków, a rewolucyjnie szeregi proletariatu i kredyt moralny rewolucji niemieckiej w Międzynarodowie zostałyby zniszczone.

Natychmiastowy opór wyrósł w berlińskich masach robotniczych z tak potężną siłą, że już od pierwszych chwil zwycięstwo moralne było całkowicie „po stronie „Włczy”.

Ale także już jest wewnętrzne, życiowe prawo rewolucji: nie wolno pozostawać biernym. Najlepszy sposób obrony to szybkie, zdecydowane kontruderzenie. To podstawowe prawo wszelkiej walki potwierdza się w rewolucji na każdym kroku. Zrozumienie tego świadczy o zdrowym instynkcie, o wewnętrznej, żywej sile berlińskiego proletariatu. Dlatego

nie mógł on poprzestać na powrocie Eicnorna na swoje miejsce, i instynktownie przystąpił do ataku na inne gniazda kontrrewolucji: na siedzibę burżuazyjnej prasy, burżuazyjne biuro Wolffa, „Vorwärts”. Wszystkie te kroki mas robotniczych wypływały z świadomości, że kontrrewolucja ze swojej strony również nie poprzestanie na poniesionej porażce i doprowadzi do generalnej próby sił obu obozów.

I tu także stoimy przed wielkim, historycznym planem rewolucji, o który rozbijają się wszystkie kombinacje i pseudoteorie owych naukowych „rewolucjonistów”, którzy w każdej walce szukają tylko sposobności do odwrotu. Należy jasno sformułować podstawowy problem rewolucji — w naszej rewolucji jest nim ocalenie rządu Eberta — Scheidemann, jako pierwszej przeszkody na drodze do zwycięstwa socjalizmu. Ten podstawowy problem wypływa z każdego poszczególnego epizodu walki wysuwa go z przyrodniczą prostotą koniecznością w całej jego doniosłości, bez względu na stopień przygotowania rewolucji do jego rozwiązania, bez względu na charakter warunków. „Przecież Ebertem i Scheidemannem!” — hasło to stało się wyznacznikiem każdego rewolucyjnego kryzysu jako formuła ogólna wszystkich poszczególnych konfliktów. Dzięki swej oświeconości i konkretności hasło to, nie tylko nawet wrotem zamierzonym, zastrzeżone do ostatecznych granic kazdy poszczególny epizod walki.

Z tego przeciwieństwa pomiędzy koniecznością zadania, a obraniem dostatecznych warunków dla jego wypełnienia w początkowej fazie rewolucji wynika to, że poszczególne epizody walki rewolucyjnej kończą się formalnie klęskami. Rewolucja jest jednakże specyficzną formą „wojny” — i prawem jej rozwoju jest to, że zwycięstwo jej, pewne i nieuniknione, przygotowuje się odczynnie przez szereg klęsk, „klęsk”.

Czego uczy nas cała historia współczesnych rewolucji i socjalizmu? Pierwszymi pionierami walki klasowej w Europie — powstańcami krakowskimi w roku 1831 — zakończyła się klęską. Kuch czarytostwością w Anglii — klęską. Powstanie proletariatu paryskiego w czerwcu dni 1848 roku — tak samo. Cała droga socjalizmu — uderok motwa o walce rewolucyjnej — ustana jest samymi klęskami.

A jednak mimo to, historia tych walk — oświeca nieprzerwanie, krok za krokiem, ku ostatecznemu zwycięstwu. Gdzieś byłibyśmy teraz bez tych „klęsk”, z których czerpiemy doświadczenie historyczne, świadomość, moc i entuzjazm? Teraz, w przedmiedniu rozstrzygających bojów klasowych opieramy się na wynikach tych klęsk. Wszystkie one bez wyjątku są dla nas ważne, każda z

nich jest częścią naszej siły i naszej świadomości.

Walka rewolucyjna jest w naszych warunkach zapewnym przeciwnieństwem walki parlamentarnej. W ciągu ostatnich czterech dziesięcioleci mieliśmy w Niemczech ciągle „zwycięstwa” parlamentarne, szliśmy po prostu do zwycięstwa do zwycięstwa. A jednak w rezultacie, w ośmiu wiekłej historycznej próbie 4 sierpnia 1914 roku ponieśliśmy niewątpliwie wszystkie polityczną i moralną klęskę, niesłychane jaskro, bezprzykładny upadek. Rewolucje natomiast awady nam dotychczas same jedynie klęski, ale te niemiłkliwe klęski są najpewniejszą gwarancją przyszłego zwycięstwa.

Jednakże pod jednym warunkiem. Idzie o to, w jakim ukończonościach musi miejsce przegrana: czy nastąpiła ona wskutek tego, że wroczą naprzód energia bojowa mas rozwinęła się o nieoświeconie dojrzałe przesłanki historyczne, czy też dlatego, że delatantów rewolucyjna sparaliżowała sama siebie powolnością, niezdecydowaniem i stałością wewnętrznych.

Litacyjnej ilustracji obu możliwości asocjuje nam francuska rewolucja lutowa z jednej, a niemiecka rewolucja marcowa z drugiej strony. Bolaterskie czyny proletariatu paryskiego 1848 roku stały się żywym źródłem energii dla całego proletariatu międzynarodowego. Naomiat woosiu niemieckiej rewolucji marcowej nie odcięto w niczym od całej innej rozwojowej współczesnych Niemiec. Jej wpływ da się wyznaczyć w ciągu całej historii ożywionej socjalistycznej niemieckiej aż do ostatecznego wyzarczeń rewolucyjnym, aż do obecnego kryzysu.

Czym jest klęska tzw. „tygodnia spartakowskiego” z punktu widzenia opisanego powyżej historycznego prawa? Była to przegrana na skutek wyczerpania energii rewolucyjnej w nieoprzatych warunkach, czy też wskutek słabości i potowiczności działani?

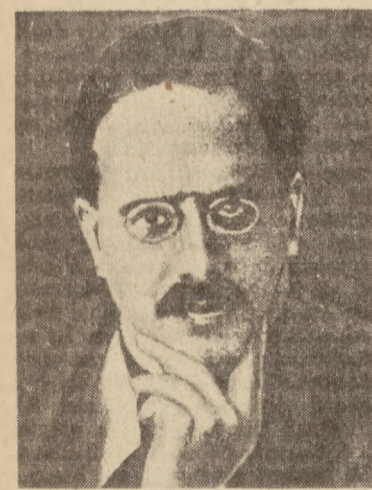
Trzeba stwierdzić, że przywódcy nie stanęli na wysokości zadania. Ale przywódców mogą i powinni wydatć z siebie na nowo same masy, wgrastają oni bowiem w ich imacach. Masę są elementem decydującym, one są u siebie, na której oprze się nieuniknione zwycięstwo rewolucji. Masę zaś całkowicie dorosły do zadania. Trzebrany „spartakus” uczyniły one kolejnym ogniwem tych historycznych klęsk, które są dumą i potęgą międzynarodowego socjalizmu. I dlatego to z „klęsk” tej wyrosnie przyszłe zwycięstwo.

„Porządek panuje w Berlinie”. O tepe slugusy! porządek wasz jest zamkiem na lodzie. Rewolucyjna fala już jutro znowu „podniesie się wzniesie” i dźwiękiem trąb ogłosi ku waszemu przerażeniu: Bylam, jestem i będę!

Róża Luksemburg tłum. Jerzy Gładowski

PO MIMO WSZYSTKO!

(Ostatni artykuł Karola Liebknechta zamieszczony w „Rote Fahne” na krótko przed jego śmiercią)



Karol Liebknecht

Tak zostali rozbitci. I klęska ta była koniecznością historyczną, ponieważ czas jeszcze nie nadszedł. A jednak, pomimo wszystko walka ta była nieunikniona. Dlatego, że oddać bez boju gmach Prezydium Policji — palladium naszej rewolucji — Ernstowi i Hirschowi, znaczyłoby okryć się hańbą. Bandy Eberta narzuciły proletariatu tę walkę i wybuchła ona z siłą żywiołową, nie cofającą się przed niczym.

Tak. Rewolucja w Berlinie została zdławiona.

A panowie Noske, Scheidemann i Ebert zwyciężyli. Zwyciężyli, ponieważ za nimi poszli generałowie, biurokraci, obszarnicy, klechy i bogacze, za nimi poszło wszystko co było u nas ciemne, głupie, ograniczone. Dla nich to zwyciężyli oni przy pomocy kartaczy, bomb gazowych i mitotaczy min.

Bywają jednakże klęski, które równają się zwycięstwom i zwycięstwa bardziej straszliwe od klęsk.

Oci, którzy w krwawym tygodniu styczniowym ponieśli klęskę, odważnie walczyli za wielką sprawę. Walczyli o najpiękniejsze ideały ludzkości, o materialne i duchowe wyzolenie uciskanych mas; za świętą sprawę przelewali swoją krew, która sama stała się przez to świętą. I z każdej kropli tej krwi powstają mściciele, z każdego włókna ich ciał powstają nowi bojownicy sprawy, która jest wieczna, jak wieczny jest strop niebieski.

Dziś zwyciężeni, jutro będą zwycięzcami. Klęska jest dla nich szkołą walki. Proletariatowi niemieckiemu brak jeszcze rewolucyjnego doświadczenia. I nie gdzie indziej jak w młodzieńczych błądach, bolesnych ciosach i klęskach zdobędzie on to doświadczenie praktyczne, które zapewni mu przyszłe zwycięstwo.

Dla żywych, przodujących sił rewolucji społecznej, których wzrost jest podstawowym prawem rozwoju społecznego, porażka jest zachętą do walki. Ich droga wiedzie przez klęski ku zwycięstwom.

A dzisiejsi zwycięzcy? Dla podłej sprawy prowadzą oni swoją haniebną robotę. Bronią władzę wczorajszej, służą śmiertelnym wrogom proletariatu.

Właściwie mówiąc, przegrali oni już dzisiaj. Znaleźli się bowiem w

niewoli u tych, których chcieli użyć jako swego narzędzia, a narzędziem których sami dawno się stali.

Na razie dają oni jeszcze firmie swoje nazwisko, nie potrwia to jednak długo.

Oto stanęli oni pod przegierzem historii. Świat nie widział jeszcze takich Judaszów: nie tylko sprzedali oni największą swoją świętość, ale własnymi rękami przybili ją do krzyża. Tak samo jak we wrześniu 1914 roku oficjalnie socjaldemokracja niemiecka stoczyła się na samo dno upadku, tak i dziś o brasku rewolucji socjalnej przedstawia ona sobą obraz ostatniej ohydny.

W czerwcu 1848 i w maju 1871 roku burżuazja francuska zmuszona była szukać oprawców we własnych szeregach. Burżuazja niemiecka nie potrzebowała się o to troskać — „socjaldemokracji” wykonują za nią tę brudną, podłą, krwawą, tchórzliwą robotę. Jej Cavaignac, jej Galliffet — to Noske, „niemiecki robotnik”.

Dźwięk dzwonów przyzywał do rzeki; muzyka, wzruszone ręce i zwycięskie okrzyki uratowanych od „grozy bolszewizmu” kapitalistów witaly zwycięskie żołdactwo. Jeszcze dymi się proch, jeszcze leżą zabici, jeszcze jeżą ranni proletariusze, a oni, pełni zwycięskiej dumy urządzają defiladę morderców, oni — Noske, Loerty i Scheidemann.

Drakoński pomiot!

Już odwraca się od nich ze wstydem międzynarodowy proletariatu, od nich, którzy ośmielił się podnieść swoje krwawe ręce przeciwko Międzynarodowie. Z nienawiścią i pogardą odwracają się od nich nawet ci, którzy w awanturniczej wojnie światowej sami zapomnieli o obywatelskich wobec socjalizmu. Znałbieni, wykluczeni z szeregu uczciwych ludzi, wygnani z międzynarodówki, pogarżani, przeklejeni przez każdego rewolucyjnego proletariusza, stoją oni przed światem.

Dzięki nim spadła klęska na całe Niemcy. Zdrącający swoich towarzyszy, bratobójczy rządzą dziś Niemcami. Ale ich szczyście nie może trwać długo; nadzieje wkrótce dzień sądu. Wyczyni ich wzniesie pożary gniewu w milionach serc. Rewolucja proletariacka, którą chcieli oni utopić we krwi, zmartwychwstanie w całej

swojej potęgze. A pierwszym jej słowem będzie: przez z mordercami robotników, z Ebertem, Scheidemannem i Noske!

Oi, których dziś zwyciężono, zmądrzeń. Wyleczyli się już z szaleństwa szukania ratunku w pomocy ogłupionych mas żołnierskich; wyleczyli się z szaleństwa polegania na przywódcach, którzy dowiedli swej słabości i niedołęstwa, wyleczyli się z wiary w niezależną socjaldemokrację, która ich haniebnie zdradziła. Tylko licząc na własne siły osiągną oni jutro zwycięstwo. Ubiegły tydzień nauczył ich głębiej rozumieć sens twierdzenia, że wyzwolenie robotników może być tylko dziełem samych robotników.

„Spartakowcy rozbitci”. Nie stchoryliśmy jednak, nie uciekliśmy, jesteśmy! I choć nas zakuwają w kajdany, też trwać będziemy i zostaniemy na miejscu i nasze będzie zwycięstwo!

„Spartakus” bowiem — to ogień i duch, to dusza i serce, to wola i czyn rewolucji proletariackiej. „Spartakus” — to życie, to żądza szczęścia, to wolecie wojowego mestwa świadomego proletariatu. „Spartakus” — to socjalizm, to rewolucja światowa.

Proletariat niemiecki nie zakończył jeszcze swej drogi na Golegole, ale dzień wyzwolenia nadchodzi, zohłza się dzień sądu nad panem Noske, Ebertem i Scheidemannem, nad kapitalistycznymi władcami, którzy kryją się za socjaldemokracją. Wysooko wznoszą się fale wydarzeń. Nie po raz pierwszy przyszło nam spaść ze szczytu w głąb. Ale okrutnie twarodo, nieustępliwie trzymaj kurs na zwycięstwo.

Być może, nie będzie już nas wśród żywych, kiedy zwycięstwo nadejdzie, ale żywy będzie nasz program, który oparuje cały świat wyzwolonej ludzkości — pomimo wszystko!

Spicie dziś jeszcze masę proletariatu zdruzgać od groźnego losotku zwiastującego krach ekonomiczny, jak od dźwięku trąb Sądu Ostatecznego. I zbudzą się wtedy trupy zabitych bojowników i zacząją rachunku od przekleństw morderców. Dziś słychać tylko podziemny huk wulkanu, ale jutro wulkan wybuchnie ogniem i w potokach pionącej lawy pogrzebie morderców.

Karol Liebknecht tłum. Jerzy Gładowski

nie wolno jednak przekonywać, że był on komunistą. Cóż mówił Erxner? „Czy zastanawialiście się kiedy, dlaczego właściwie wolność jest na górze, a nie na dole? Umieszczono ją na niedosiężnym szczyście, aby nikt nie mógł się do niej zbliżyć. To jest to „najwyższe dobro”, po które na próżno wyciągamy ręce. I tak zrobiono z tego, co było tylko ziem koniecznym, cnotę, ideał, dlatego, że w dolinach nie było wolności, kto się czuł wolny, uciekał w góry”. Erxner mówił więc coś całkiem innego, niż to, co mówiono w pruskiej szkole. Dla Erxnera dobrem była wolność, swoboda, nie wyrzeczenie. Zdobyć wolności kosztuje wiele cfiar. Ale faizyżka jest idealizacją wyrzeczenia jako jedynej drogi prowadzącej do wolności. Tak Erxner wyjaśnił, czym jest dobro. Nie powiedział jednak, kto umieścił wolność „na górze” i w jakim celu to uczynił. Toteż go Erxner poszedł na front, narrator stracił swój „pion”, wskazujący mu granicę między „dobrem” a „ziem”.

Jednak rozmowy z Erxnerem nie przyniły bez siadu. Pozostawili w Uhmsem sprzeczność w pojmowaniu dobra. Walka o usunięcie tej sprzeczności stanowił treść książki. Z jednej strony dobro ukazane przez Erxnera, z drugiej — dobro rozumiane jako nietscheańskie „wyrzeczenie”. I Uhmse znał wreszcie prawdziwe dobro — walkę o wolność. Znalazł je u tych, którzy realizowali to, o czym mówił Erxner, u komunistów Fischera, Lizy, Bobbiego. Wyraz temu dał Uhmse maszerując w dniach rewolucji niemieckiej w pierwszym szeregu tłumie robotników żądających wolności, pokoju i chleba. Droga utworzona słowami Erxnera i miłością do Lizy zaprowadziła go po wielu latach na pola walk w Hiszpanii.

Jednak proces przemiany świadomości, mimo dobitnego przedstawienia punktu wyjścia i punktu dojścia przedstawia się niejasno. Do Fischera i Lizy trafił Uhmse niewątpliwie przez świadomość przynależności do jednej klasy społecznej. Przyczynił się do tego wypadek z Kurtem Kecke. Zdobyćcie przez Uhmse dojrzałości politycznej umotywowane jest uświadomieniem sobie przez niego podobieństwa do Kurta Kecke. Ale u jakiego podobieństwa? Kurt, syn ubogiego akuszerki, rozdał na ulicy godnym kobietom wóz chleba, przeznaczony dla wojska, a Uhmse zdał sobie sprawę, że sam czyni podobnie jak Kurt, tylko tchórzliwie bierze od Fischera nielegalnie zdobyte kartki żywnościowe. Zarówno więc Kurt jak i Uhmse, postępują sprzecznie z militarnym „wyrzeczeniem”. Uhmse starał się nie godować. Ale w tym sensie podobny do Kurta są również burżuazyjni synkowie Alfred Hellmann, Artur Hoizpalf i Fryc Weidmuller. Przecież i oni kryzysali z kartek Fischera. Czemu jednak Alfred widząc Kurta, rozdał chleb sprowadza policję, a Uhmse wraz z Fischereim bierze udział w akcji uwolnienia go z więzienia. Ważne w życiu autora książki osiągnięcie etapu solidarności klasowej nie zostało zatem należycie umotywowane.

Militarystyczne pojmowanie ofiary jako „dobra” nie zostało w pełni przedstawione w „Synach” jako filozofia wyszysku, za pomocą której kapitalizm w imię swych spiecznych z interesami klasy robotniczej żądań, maskowanych „wielkością” i „siłą panstwową”, legalizował nędzę proletariatu i usiłował zeń uczynić bezwolne narzędzie w swym ręku. Autor nie zinterpretował klasowej pojęcia „wyrzeczenia”. Czytelnik nie wie, dlaczego autor potępia pruską „ofiarę”, gotów jest sądzić że ziem, jako przeciwiwielmo wolność jest każde wyrzeczenie, każdy obowiązek, nie tylko ten militarny, styczny, ale i ten ponoszony przez klasę robotniczą dla własnego dobra. Autor nie przedstawił militarnemu do końca jako narzędzia ucisku proletariatu, nie pokazał jego klasowego w kapitalizmie ostrza.

Powieść Bodo Uhmse jednak, przedstawiając całą trudność przezwyciężenia militarystycznej ideologii, przekonuje, że można ją przemazać w sposób zdecydowany i bezkompromisowy. Wskazuje na rzeczywistych, z krwi i kości przedstawicieli militarizmu, na faktycznie nim zainteresowanych. I mimo, że tego zainteresowania burżuazji militarystycznym nie motywuje, przynajmniej się znacznie do wzbudzenia zaufania do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, bazującej właśnie na tych, którzy tak jak Bodo Uhmse, uznali militarystyczny. Co przynosi książka Bodo Uhmse polskiemu czytelnikowi, którego sprawy niemieckie tak żywo obchozą? Ukazuje takie postaci, jak Erxner, Fischer i Liza, naprawdę piękne sylwetki niemieckich bojowników o wolność i pokój, powieść nie pozwala ułozsamiać najydu niemieckiego z hitlerowskimi barbarzyńcami.

Uhmse wzbudza wiarę w możliwość pokojowej współpracy z nowymi, młutującymi pokój Niemcami. Czytelnik polski wie, że między Niemieckiej Republiką Demokratyczną wychowywano ją w duchu internacjonalizmu i socjalizmu. I dlatego czytelnik polski wierzy w trwałość przyjaznych stosunków polsko-niemieckich.

Leonard Wallicht

1) Bodo Uhmse, „Synowie”. Przetłozyla Teresa Jętkiewicz, „Czytelnik”, 1950, str. 280.

2) W. I. Lenin. O walce przeciwko wojnie imperialistycznej. „Książka i Wiedza”, 1950.

Józef Mozga

Popatrzcie na moje 25 lat błędzenia i walki

Zamieszczamy poniżej odpis przemówienia Józefa Mozgi, jakie wygłosił on na noworocznej biesiadzie członków spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie.

Nie jest to więc artykuł, a wypowiedź, wyjęta z wewnętrznego życia spółdzielni. Czytelnicy nasi znają szczegółowo dzieje walki klasowej w Godzianowie.

Do historii Godzianowa dochodzi nowy rozdział. Dawny „Stamowiec” wicjarz — opowiada swój życiorys społeczny, poświęca do innych stamowców wicjarzy w Godzianowie a także i w wielu innych wsiach.

Jest to jakoby powtórzenie biografii z ankiety Młodego Pokolenia Chłopów (ogłoszonej w 1937 r.) i dopisanie jej dalszego ciągu przez dawnego wicjarza tułowca — matoroelnego chłopca. Ale w tym powtórzeniu i dopisie oglądamy rewizję założeń i poglądów, jakie leżały u podstaw rozpaczyliwych obrazów życia większości Młodego pokolenia Chłopów.

Mozga był w Polsce kapitalistycznej, w Polsce faszystowskiej działaczem społecznym, spółdzielcą i oświatowcem wiejskim. W tych granicach utrzymywał go wpływ „Wici”. Poza nurtem bezpośredniej walki politycz-

nej, poza nurtem walki rewolucyjnej, której celem było wydarcie władzy burżuazji i obalenie kapitalizmu.

Zyciorys swój przypomina towarzyszem — rówieśnikom, dziś kolegom — spółdzielcom dla rozpatrzenia dróg, na których wspólnie błędzili nie rozumiejąc dobrze kapitalizmu i walki i roli klasy robotniczej.

Przypomina jak na ostatnim, powojennym etapie, obciążeni starym bagażem ideologicznym, z mozołem dorabiali się i dorabiali jako ludowcy socjalistycznej świadomości i rewolucyjnego sojuszu z klasą robotniczą.

Jest to zatem i wyznawanie osobiste. Złożone najpierw w kręgu towarzyszy walki o spółdzielnię produkcyjną w Godzianowie, następnie w kręgu czytelników „Wsi” a tzn. w jeszcze szerszym kręgu walczących o pełne zbudowanie socjalizmu w Polsce.

Wypowiedź Mozgi jest więc z natury swej dyskusyjną. I trzeba, aby wywołała dyskusję. Niechże inni towarzysze walki określą i ocenią ten stopień świadomości klasowej i politycznej. Bo cieszyć się można każdym nowym osiągnięciem ale żądać trzeba określonego przez aktualny etap walki o socjalizm.

REDAKCJA

Droży Koledzy i Towarzysze walki!

Wiem, podobnie jak i wy, że walka o spójność nie była łatwa. Prowadziliśmy ją etapami, niesposob było brnąć o raz za wszystko. Przed dwoma laty rozgryźliśmy dopiero o czyszczenie przepaści dla szerzej działalności. Obszaryliśmy szkoły, poczęliśmy, spółdzielnię samopomocową, mieczarnię, organizację społeczne i polityczne — naszymi ludzmi, wyrosłymi z biedoty entonickiej i średniaków. Ważyliśmy następnie bezpośrednio o wies. Udało nam się odnieść prawdę o kuakach. Zdemaskowaliśmy ich perfidne metody działalności, izolowaliśmy ich społecznie, ugruntułowaliśmy we wsi wiarę w siły postępu. Mamy zupełnie prawo przypominać sobie z dumą minione lata walki. I nie w nich trau, wysiłku, niezmordowanej i pełnej poświęcenia pracy — was wszystkich. Wyszadzano nas, obspytowano przezwiskami, ignorowano, odkotowano, grożono rewolwerem, anonimami, msze zamawiano w nadziei, że to pomoże przy usunięciu nas z tego świata, a przecież aż się widać, że to wszystko nie przyniosło nam zwycięstwa. To wszystko prawda.

Wypadło mi potem, jako terminatorowi, jedzć do powiatowego mieszcza za sprawunkami dla szeta. Wydawałem nieraz przed magistratem gromady bezrobotnych, wychekujących na zasiek. Wydawało mi się wtedy, że przejdącający obok tytu białaków chłopci na wyładowanych zwozem wozach, nie mieli nawet dla nich ciepłego spojrzenia. Patząc na bezrobotnych, czułem się znacznie od nich szczęśliwszy. Ich nie przyjęto by nawet do terminu. Mnie natomiast, choć byłem goły, majster przyjął, ponieważ pochodziłem z gospodarstwa, a więc miałem poszanowanie dla „świętej” własności. Pierwsza lekcja w krawieckim fachu udzielona mi przez pana majstra, dotyczyła właśnie owego szacunku dla własności.

Terminowałem na wsi, stąd też nie rozstawałem się z Wami. A i dziś jesteśmy razem i radzimy nad sojuszem tych spod magistratu z chłopami, którzy wówczas posiadali jeszcze spore gospodarstwa i niezłego konia, a po latach, mimo rozpaczliwej pogoni za orobokiem — pozostali bez konia, na małych skrawkach ziemi, rozrzucając dzieci po służbach u bogaczy. Dlatego wypadł mi taki los? Książd powiedziałby pewnie, że za dużo greszyliście a za mało modlili się. Ale to nieprawda — na grzeszne życie czasu nie starczało, do kościoła chodzili. Nasz bogacz okoliczny czy wioskowy rzekł by zapewne, że byli leniwi. Także nieprawda. Lata całe harowali, próbowali oszczędzać, dokupić, pobudować się, powiększyć przychówek. Nie wychodziło.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

— A nasz tata ma dwa konie, a wasz nie!...

— A mój kupił kierat, a wasz nie!...

— A u nas są trzy krowy, a u was tylko jedna!

— A mnie tata kupił buty na skórzanych podszwach! itd itd. Były to najbardziej pasjonujące rozmowy, gdy chodziło o zdobycie społecznego uznania w gromadzie wiejskich dzieciaków. Czyżby to dzieci wpadły na pomysł, żeby znaczenie społeczne wprowadzić ze stanu materialnego posiadania? Taką bolesną „zabawę” uprawiana była przede wszystkim przez starszych. W szkole nasza „pani” lubiła i wyróżniała dzieci bogatsze, a bogatsi rodzice wyróżniali panią nauczycielkę. Książd po koleżdzie tylko do bogatszych zaglądał, dlatego w niewielu chałupach na naszej wsi oglądano „jęgomości”. Na wesele lub chrzciny zła siodmiej rzeki przyjeżdżał uroczysto wityny bogaty krewniak, a ubogi krewny, najbliższy sąsiad do rodziny dostepu już nie miał. „Ciepłszy” wygrają sprawę w sądzie o działo rodzinne, bogatego jedynaka do wojska nie brali. To był świat widziany jeszcze oczyma wiejskiego chłopaka. Patrzyło się na zabęgi ojca w zdobywaniu bogactwa nie rozumiejąc, że można paść samemu ofiarą tej walki. Zyczyło się nawet ojcu powodzenia.

dobrze te spółdzielnie. Poszukajcie w pamięci — czy znajdziecie w naszych stronach spółdzielnię nie kierowaną przez bogaczy? Warto by pokusić się o sporządzenie odpowiedniej statystyki. Wszędzie bogaci i „wiczysci” kierownicy. A stosunki wewnątrz spółdzielni? Pan prezes naszej mleczarni zarabiał przed wojną 100 do 150 zł. miesięcznie. Pan prezes pracował kilka dni w miesiącu. Pracownik natomiast otrzymywał 30 do 40 złotych a harował codziennie. Prezes miał aż nadto dużo czasu, aby dopatrzyć swego gospodarstwa. Za 100 złotych można było zatrudnić odpowiednio przez miesiąc 4 „murzynów”, licząc przyjętą wtedy dniówkę na 80 groszy. Jakże gorzko wypada mi to wspomnieć, że „murzynami” bywali nierazko najzagorzalsi wyznawcy walki z... kapitalizmem przy pomocy spółdzielni.

Przypomina mi się, że mnie idea spółdzielca urzekła. Walczyłem o nią w kole młodzieżowym. Zdecydowałem się na pracę w spółdzielni, mimo ostrzeżenia żony, która nie mało naharowała się u spółdzielców — kulaków. Ostrzeżenie okazało się słuszne.

Zdarzył się w naszym życiu wypadek, który przemienił w znacznym stopniu moją światopogląd. Wypadek, który Kolezdy znać, choć zapewne nie przywiązał do niego większej wagi. W czasie mojej służby wojskowej zona moja pracowała w spółdzielni jako sklepowa. Pracę tę przyjął pod moim naciskiem, zapalonego wówczas spółdzielcy. Praca nie łatwa, bez wolnych niedziel i świąt. Zdarzyło się, że zona miała rodzic. Przy tej okazji wyszło na jaw, że przepisy pracy w naszej spółdzielni nie przewidywały takich wypadków. Rankiem, po otwarciu sklepu, zorientowała się zona, że już na nią czas. Zamknęła zatem sklep, wsiadła na furmankę i w wielkich boleściach dotarła do szpitala. Po drodze spotkała mnie maszerującego w kolumnie na plac ćwiczeń. Rzuciła z wozu klucze do spółdzielni prosząc, bym wziął kilka dni urlopu i zastąpił ją w pracy, ponieważ jest w konflikcie z placówką służbową i straci pracę, jeżeli zastępca natychmiast się nie pojawi. Porucznik na szczęście nie odmówił. Po kilku dniach zona pozostała w domu samotnie dziecko w domu a ja stanąłem w szeregu.

Tak zaczęły opadać piórka z „gmachu rzeczościwej spółdzielczej”, której byłem zagorzałym entuzjastą. Rozpoczął się u mnie okres gorączkowych poszukiwań źródeł, jak się to w „Wiciach” mówiło — zła. Był to okres jakiegoś zadumy nad elementarnym charakterem człowieka, pojmanego ogólnie. Ludzie byli dobrzy albo źli. Wszyscy jednak w naszym przetrwaniu mogli stać się dobrymi. I ci, o których mi się przychodziło wspominać, że mieli po dwadzieścia i więcej hektarów i ci, którzy zimą kradli ploty na opał — najwięksi nędzarze wiejscy. Zgodnie i po bratersku wychowywałem się w ich kołach wicjowych. Ale nie wszyscy. Do wielu kół nie przyjmowano parobków. Widać to było zwłaszcza w Łowickim. W ewidencji naszego koła na przestrzeni kilkunastu lat doszukałem się zaledwie dwóch służących, za to bogackich synów nie brakowało. Jako czynny młodzieżowiec przedtem wyższy stopień wtajemniczenia wicjowego na Uniwersytecie Ludowym w Gałi Przeworskiej, tej centralnej szkole młodzieżowskiego ruchu. Wyjaśniły mi się tam schorzenia w naszym aparacie spółdzielczości wiejskiej. Sądziłem wprawdzie, że przysłowiowy przed wojną „problem nędzy i zła” wyjaśnił nam wycnowawcy w szerszej społecznie — gospodarczej strukturze, ale o tyle się nie zawiodłem, że dostałem receptę na rozwiązanie tego problemu. Zwiększo go do prostego, nieomalże ewangelicznego schematu dobrego i złego człowieka. Idźcie na swoją wieś, kolego Józefie, i robcie dobrych ludzi — takby się dało krótko streścić całą edukację. Wyńsiona stamtąd „dobroć” spalała się w życiu na popiół, a i popiołu nawet po niej nie pozostawało. Człowiek, ja i wy — Koledzy, wielu z naszej wsi skazanych było na bezwzględny „walkę wszystkich przeciw wszystkim” — jak mówił Engels, na walkę, nazywaną „szlachetną”, wolną konkurencją.

Wygnał mnie z domu ojciec, brat zbił po twarzy, kiedym się o swoje chciało upomnieć — jak to rozumieć? Zli ludzie? Tego ja nie wiem, ani wy nie powiecie. Była to walka o ziemię, w której brat dla brata jest niebezpiecznym konkurentem, w której znikają wszelkie więzy rodzinne, zwycięża chęć zysku. Powiecie dziś, że to zjawisko związane nierozdzielnie z kapitalizmem na wsi. Słusznie. Pomiatał mną mistrz krawiecki, tak jak moja żona pan prezes spółdzielni. I to na-

Należymy do najstarszych — jak sądzę — dawnych wicjarzy, pierwszych równocześnie członków tej organizacji. Ruch młodzieżowski to pierwsza instytucja, przy pomocy której zdobywaliśmy wiedzę o rzeczywistości, tu poznawaliśmy konflikty społeczne i drogi ich rozwiązywania.

Był rok 1925 kiedy zapisałem się do Koła Młodzieży Wiejskiej. Zetknąłem się na nowo po dłuższej przerwie z gazetą i książką. Na których zebraniu stwierdziłem z przerażeniem u siebie wrotny analfabetyzm. Nie umiałem zacytować fragmentu z gazety. Siodmę polę na mnie były, kiedy przyszło mi samodzielnie składać zdania, których zresztą nie rozumiałem.

W 1928 roku powstały opozycyjnie nastawione „Wici”, które pociągnięty za sobą co radykalniejszą młodzież chłopską. Przy „Wiciach” utrzymywała się wtedy grupka posłów z „Wyzwolenia” i „Stronictwa Chłopskiego”. Pracowaliśmy — wielu z Was pamięta — „od podstaw”, budowaliśmy w naszej wsi fragment „rzeczospolitej spółdzielczy”. Drobne spółdzielnie spozyców, mleczarskie, kasy pożyczkowe — miały stawić czoła fabrykantom, bankierom i kupcom. Liczyliśmy, że szczęśliwie wymyślimy kapitalizm, nie wpadniemy po drodze w socjalizm, lecz szczęśliwie dojdziemy do trzeciego ustroju — spółdzielczego. Cieszyliśmy się wszyscy, że mamy u siebie na wsi (jeden z pierwszych w okolicy) sklep spółdzielczy, który rugował pośrednika, ale zaopatrywał się w prywatnego hurtownika.

„Wici” budowały spółdzielczość, która miała wyrwać chłopów z biedy i „znieść” kapitalizm. Znać koledzy

zwiecie prawidłowością życia w ustroju kapitalistycznym. Słusznie. Nie w „naturze” zatem człowieka tkwi jego stosunek do drugiego, lecz w strukturze społeczno — gospodarczej. Tak to dziś rozumiemy. Kulak, przedsiębiorca utrzymuje się na zasadzie kapitalistycznego wyzysku.

Odpowiedzcie jednak — kto nas nauczył rozpoznawać elementy kapitalizmu? Bywałem nieraz w życiu bez pracy, tużem się beczynie po wsi, próbowałem zahaczyć i w mieście, doznałem wielu zawodów i upokorzeń, a jednak nie mogę powiedzieć, że mnie sam spontanicznie potok życia nauczył rozumieć kapitalizm. Mówię wam o swoim życiu, żeby pokazać, że jakiegokolwiek przed wojną chwytaliśmy się w naszych warunkach ideologii, która w swoim przedłużeniu nie wiązała się z ideologią rewolucyjnej klasy robotniczej, zawsze nas prowadziła na manowce. Ale powiecie, że czymś realizowali rzeczospolną spółdzielczą, czy strajki chłopie — kapitalizm pozostał. Owszem, ale robiąc „rzeczospolną spółdzielczą” gubiliśmy drogę wyjścia do cna. Robiąc zaś strajki rolne, wchodziliśmy w przedwst rewolucji. Szliśmy już w sojuszu z robotnikami i pod ich bezpośrednim wpływem. Jeszcześmy wyników nie widzieli. My, chłopie, niełatwo dający się przekonać, jeszcze nie widzieliśmy zwycięstwa i dlatego gubiliśmy różnicę, jaka dzieli spółdzielczość w kapitalizmie, od strajku chłopieckiego w kapitalizmie. Jeszcześmy nie pojmaneli, że to pierwsze, póki kapitalizm jest, zraść się z nim, a to drugie walczyć z kapitalizmem, uderza w niego i tylko po tej drodze, coraz silniej, coraz szerszej bijąc, rozwalamy naszą niewolę.

Wiem, podobnie jak i wy, że walka o spójność nie była łatwa. Prowadziliśmy ją etapami, niesposob było brnąć o raz za wszystko. Przed dwoma laty rozgryźliśmy dopiero o czyszczenie przepaści dla szerzej działalności. Obszaryliśmy szkoły, poczęliśmy, spółdzielnię samopomocową, mieczarnię, organizację społeczne i polityczne — naszymi ludzmi, wyrosłymi z biedoty entonickiej i średniaków. Ważyliśmy następnie bezpośrednio o wies. Udało nam się odnieść prawdę o kuakach. Zdemaskowaliśmy ich perfidne metody działalności, izolowaliśmy ich społecznie, ugruntułowaliśmy we wsi wiarę w siły postępu. Mamy zupełnie prawo przypominać sobie z dumą minione lata walki. I nie w nich trau, wysiłku, niezmordowanej i pełnej poświęcenia pracy — was wszystkich. Wyszadzano nas, obspytowano przezwiskami, ignorowano, odkotowano, grożono rewolwerem, anonimami, msze zamawiano w nadziei, że to pomoże przy usunięciu nas z tego świata, a przecież aż się widać, że to wszystko nie przyniosło nam zwycięstwa. To wszystko prawda.

Wypadło mi potem, jako terminatorowi, jedzć do powiatowego mieszcza za sprawunkami dla szeta. Wydawałem nieraz przed magistratem gromady bezrobotnych, wychekujących na zasiek. Wydawało mi się wtedy, że przejdącający obok tytu białaków chłopci na wyładowanych zwozem wozach, nie mieli nawet dla nich ciepłego spojrzenia. Patząc na bezrobotnych, czułem się znacznie od nich szczęśliwszy. Ich nie przyjęto by nawet do terminu. Mnie natomiast, choć byłem goły, majster przyjął, ponieważ pochodziłem z gospodarstwa, a więc miałem poszanowanie dla „świętej” własności. Pierwsza lekcja w krawieckim fachu udzielona mi przez pana majstra, dotyczyła właśnie owego szacunku dla własności.

Terminowałem na wsi, stąd też nie rozstawałem się z Wami. A i dziś jesteśmy razem i radzimy nad sojuszem tych spod magistratu z chłopami, którzy wówczas posiadali jeszcze spore gospodarstwa i niezłego konia, a po latach, mimo rozpaczliwej pogoni za orobokiem — pozostali bez konia, na małych skrawkach ziemi, rozrzucając dzieci po służbach u bogaczy. Dlatego wypadł mi taki los? Książd powiedziałby pewnie, że za dużo greszyliście a za mało modlili się. Ale to nieprawda — na grzeszne życie czasu nie starczało, do kościoła chodzili. Nasz bogacz okoliczny czy wioskowy rzekł by zapewne, że byli leniwi. Także nieprawda. Lata całe harowali, próbowali oszczędzać, dokupić, pobudować się, powiększyć przychówek. Nie wychodziło.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas, dziesięć lat, spędziło w wsi. Niematy kawał czasu, tym więcej, że dzieje biegiły w ostatnich dziesiątkach lat szczególnie szybko. Otarłem się o ruch ludowy, wicjowy, znałem różne poglądy chłopie na rzeczywistość społeczną, walczyłem z rozmaite ludowcowe ideologie, ale żadna z nich wówczas nie wyprowadziła mnie poza granice kapitalizmu, nie zmobilizowała świadomości do obalenia go, każda z nich doskonale się w nim mieściła.

Wielu z nas

JERZY MILLER

WSPOMINAJĄ STARZY SDKP i L-owcy

JERZY MINICH

JÓZEFA BARJASZOWA

W dniu 21 czerwca 1905 roku przy barykadzie wznoszonej w poprzek ulicy Wólczńskiej, pod 175 numerem posesji — poblizu fabryki Schweikerta i o kilkanaście domów od fabryki Richtera, gdzie stacjonowało wojsko, panował gorączkowy ruch.

Znoszono z okolicznych domów wszystko, co tylko się dało, wyciągano z wozowni wozy, beczki, ze stolarni meble, koźły i bele drzewa, z terenu fabryki Schweikerta żelazstwo, pręty, arkusze blachy i żelazne szyny, z niedawno wyczonej jezdni wrywano brukowce i narzucano je na barykadę, która rosła

swego sumienia uczuć pańszczyźnianych. Ale jakże można się dziwić echem kazań księdza Szmida z parafii Sw. Krzyża i pogłosom wystąpienia pastora Gundelacha.

Schweikert, chociaż grzeszniutki i pokorny, nie był skory do ustępstw. Dopiero pod groźbą podpalenia magazynu zgodził się w przyszłości nie przyjmować do pracy znienawidzonych majstrów, których wyrzuciliśmy sami, poza tym zgodził się wypłacić pobory za okres strajkowy. Natomiast jeśli szło o podwyższenie zarobków o 40 proc. dla najniższej uposażonych i zmniejszenie ilości godzin pracy z jedenaście do dwunastu na osiem, odmówił wyrażenia swej zgody. — Co to, to nie! — Wobec tego, zabarykado-

mu nie było pieniędzy i już od ósmego roku życia musiałem pójść do pracy zwykłą koleją losu dzieci robotniczych — tam w Niemczech, wiele i zobaczyłem, i wiele się nauczyłem. Tam przecież słuchałem dyskusji, w której zabierali głos towarzysze tej miary, co Róża Luksemburg.

Lata przebyte po więzieniach carskich i sanacyjnych nie złamały starego proletariackiego. Natychmiast po wyjściu na „wolność” nawiązywał kontakty z towarzyszami partyjnymi z S.D.K.P. i L., a później z K.P.P., aby walczyć o prawdziwą wolność, tę, o której pisano na sztandarach bojowych z 1905 roku. — My, towarzysze niemieckiego pochodzenia przylgnęliśmy do S.D.K.P. i L., przenikniętej na wskroś duchem internacjonalizmu. A zresztą — znaliśmy życie. Robotnik — czy to polski, czy niemiecki, czy żydowski, jednakowo byli gnębieni przez kapitalistów — obojętnie jakiej nacji.

Tymczasem czas mijał z przerażającą szybkością. Z manifestacji na manifestację, z wiecu na wiec biegaliśmy wówczas z energią swoich trzydziestu kilku lat. W ciągu trzech dni zniszczyliśmy wszystkie w mieście sklepy monopolu spirytusowego z zemsty za prowokację zarządcy monopolu w czasie „krwawej niedzieli”. My — S.D.K.P. i L-owcy tworzyliśmy wówczas szereg własnej milicji obywatelskiej. Lecz porządku w mieście nie trzeba było utrzymywać. Nie zdarzały się ani kradzieże, ani napady rabunkowe, nie wchodziło się na ulicach pijanych. Wódka ze sklepów monopolu strugami płynęła do rynsztoków.

Nasza barykada przy ulicy Wólczńskiej wysokości sięgnęła pierwszego piętra. Każdy z nas uzbierał się na własną rękę w siekiery, żelazne pręty, we wszystko, co tylko wydało się nam użyteczne w starciach z dragonami. O, gdyby było dość broni palnej — inaczej by się potoczyły losy 1905 roku.

Pierwszy szturm dragonów stacjonujących u Richtera odparliśmy krwawo. Na ewakuujących zbiorów posypał się grad brukowców, kobiety dzielnie nas wspomagały w obronie, wylewając z okien domów sąsiadujących z barykadą wiadra wrzątku. Ale w czasie następnego szturm — po trzydniowym władaniu miastem, wyszły na jaw braki w budowie barykady. Na oko potężna i okazała, niepotrzebnie zawieriała mnóstwo drzewa. Dragoni przyciągnęli do barykady beczkę smoły i podpalił ją. Wówczas ogień zajął barykadę i zagroził okolicznemu domom. Po pożarze okazało się, że barykada trzykrotnie zmalała. I jeszcze zanim kamienie zdążyły odlegnie daty towarzyszy Minich — ja — nieuczony, bo na naukę w do-

Pewnego wieczoru w marcu, wraz z towarzyszką z scheiblerowskiego bielnika przekradłam się do ulicy Targowej, aż z okolic Bałuckiego Rynku. Ulice były ogołoczone z przechodniów i każdy krok, już z daleka sygnalizując naszą obecność na ulicach — odbijał się głośnie echem. A słyśmy przedko, prawie biegać.

Oble byłymy młode i lękaliśmy się gniewu matek. A już najbardziej martwiłyśmy się gdy plakały. Z matką układałam zajęcia tak, że gdy ona wychodziła do przedziału — ja, po jedenaście i dłużej godzinach pracy przy skróconej obejmowałam opiekę nad domem. Jeżeli ojca nie było, matka czekała dopóki nie wróci. I nieraz zdarzało się, że z mojego powodu opuszczała pracę. A pieniądze zawsze brakowało — gdyż wszyscy: ojciec, matka i ja w 1905 roku wielokrotnie strajkowaliśmy. I znowu zanosilo się na strajki.

Bielnik Scheiblera stanął, gdyż warunki pracy w bielniku były szczególnie uciążliwe. Robotnik pracował za pół darmo, jak zresztą wszędzie, a przecież zatrudniał swój organizm wyziewami chemicznymi. Ponad to bielnik, z woli dyrekcji fabryki był miejscem zesłania socjalistów, a robotników niesocjalistów wrpede uczył socjalizmu. Jeśli tylko który robotnik był hardy — majstrzy chętnie przysyłali go do bielnika, tam miał zmieknąć jak płótno w wodzie z Księżego Młyna. Nie dziwnego, że strajk był odpowiedzią na fabrykanckie szykany. Scheibler nie godził się ani na podwyżki plac, ani na skrócenie dnia roboczego. Lecz bezskutecznie starał się zwerbować iamiistrąjków.

Wszystcy robotnicy — a więc i moi rodzice żyli pod wrażeniem strajku w bielniku.

Ja już wówczas byłam robotnicą z czarną przeszlizowaną. Za podburzenie do strajku w przedziału Tedora Stelgera przy ulicy Anny, wciągnięto mnie na czarną listę. Z trudem, po wielu staraniach matki przyjęta zostałam do Scheiblera, gdzie już także wyrzobiłam sobie opinie robotniczo-socjalistki. Ukryć swe przekonania było trudno, gdyż wśród samych robotników NPR-owcy i endecy mieli wpływ — i o każdym objawie niezależnej myśli donosili dyrekcji zakładów. Również i z tego powodu moja matka martwiła się co ze mną będzie, przewidując wszystko najgorzej.

W drukarni zakonspirowanej w warsztacie ślusarskim przy ulicy Zgierskiej, zapatrywałam się raz w tygodniu w ulotki i prasę, następnie przynosząc ją do Scheiblera. Tymczasem, w tamtym dniu dowiedziałam się, że drukarnie niedługo wpadła na trop naszej partii i aresztowania objęły także i tych towarzyszy, którzy wiedzieli o drukarni. Mogło się zdarzyć, że któryś słabsze-

go ducha, nie wytrzymując bicia mógł „wyspać”.

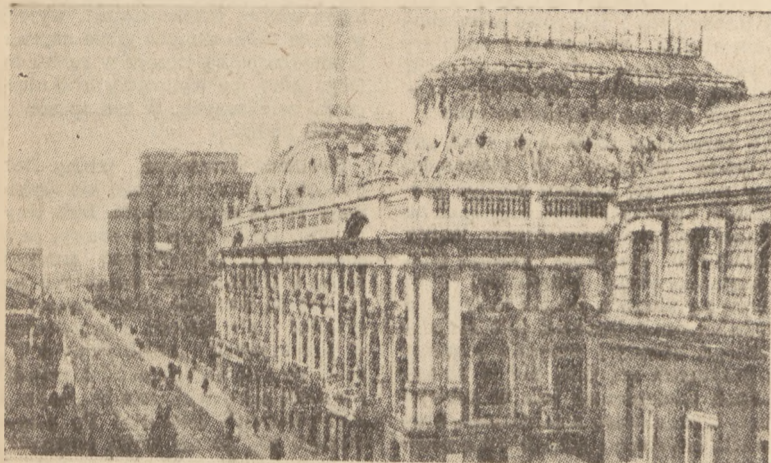
Nie było na co czekać. Obladowano nas — już nie ulotkami i prasą, ale czołkami, a ponieważ w drukarni znajdował się także magazyn broni, do tezek wysypałyśmy pełne garście naboju.

To wydarzenie — podjęła dalej swą opowieść towarzysza Barjaszowa — wydało mi się niezwykle, jak na owe czasy. W końcu 1905 r., a szczególnie w początkach 1906 r., kożacy panoszyli się w Łodzi. Atakowali przechodniów, zwykłe to byli robotnicy, wjeżdżając kołmi na chodniki, siekąc napotykanych ludzi nahałkami, potracając kołmi.

A wśród robotników nie było już tej jedności, jaka ożywała akcje w

warszysy — endecy kierowani przez dyrektora Kuncego, początkowo oburzający prelegentów bryłami węgla, wrzuciliby ich pod kocioł. Skończyło się szczęśliwie na „ukoronowaniu” majstrów i lajdaków endeckich. „Ukoronować” znaczyło w naszym języku po prostu obić. „Ukoronowanie” — inaczej zabandażowanie. Naza-jutrz lub po kilku dniach, zależało to od stopnia pobicia — nie było końca śmiechom i porozumiewawczym szeptom, gdy białe, ukoronowane głowy pojawiły się w fabryce.

Przy którejś z przecznicy ulicy Głównej stacjonował świeżo przybyły z Rosji oddział wojska, a my — w pośpiechu, zamiast nadłożyć drogi i ulicą Pustą przedostać się do Tar-



Pałac Poznański przy ul. Ogrodowej (obok fabryka Poznańskiego).

w oczach, tarasując dwudziestokilometrowej szerokości ulicę. Budowę tę — wspomina mój rozmówca, towarzyszy Jerzy Minich — wznosiliśmy przy świetle gwiazd.

Nikogo nie trzeba było do roboty przynaglać, chociaż nikt nam za tę robotę nie płacił, a jeśli — to tylko kulka w łeb, lub latami więzienia, zsyłki. Barykady budowano po całej Łodzi, w setkach punktów — to też zandarmi i carscy żołdacy zrazu tracili głowy. Jednakże dragoni stacjonujący u Richtera przy Radwajskiej „aczkołwiek także ogulpieli i zdezorientowani, nie odważyli się wyjść na ulicę, przecież strzelali ku naszej barykadzie z dachów fabryki richterowskiej. Tak więc, zanim barykada mogła spełnić swą obronną rolę, już połała się krew jej budowniczych.

II

Do wznoszenia barykady porwano się na napaściach wojska na tłum poszukujący zwłok towarzyszy Żydów zabitych 18 czerwca. Wola uczczenia ich bohaterkiej śmierci uroczystym pogrzebem była powszechna. Odruch ludu był żywiołowy, gniew nieobliczalny w skutkach.

Od czasu pierwszego maja nastroj w mieście był rewolucyjny. Przecięta ilość strajkujących przekraczała liczbę 20 tysięcy ludzi. Nawet w dniach nieświętecznych widać było tu i ówdzie w mieście grupy robotników nieraz po dwustu i trzystu, jak udawali się w spokojniejsze dzielnice miasta, na wiece organizowane przez trzy ówczesne rewolucyjne partie Łodzi. Właściwie miasto wyglądało tak, jakby w nim nie było żadnej władzy. Dopiero w niedzielę po Zielonych Świątkach mołoch zandarmski zaczął szaleć. Lecz lud łódzki, który zdążył przywyknąć do nietykalności, nie uląkł się, wprost przeciwnie — ogarnęła go wściekłość.

O ile się nie mylę — wspomina towarzyszy Minich — w Łodzi zawiązywały się wówczas komitety rewolucyjne, złożone z aktywistów partyjnych, których rola sprowadzała się do czuwania nad porządkiem w mieście i do kierowania walką.

Robotnicy Schweikerta już w dniu 19 czerwca wzięli się do oczyszczania fabryki ze zdrajców i slugozów fabrykanckich. Po napaściach na wracających z majówek w Łagiewnikach robotników, utworzył się w fabryce Robotniczy Komitet, w którego skład wchodził jako członek S.D.K.P. i L. Żyłymy wtedy jak w transie, jak podczas pięknego snu, wierząc mocno, że nie ma siły, która by nam z rąk mogła wyrwać zwycięstwo. Na wstępie rozpoczęliśmy sądzić naszych dyrektorów i majstrów w obliczu całej, zgromadzonej na podwórzu przed tkalnją, załogi. Gdy zapadał wyrok ujemny — wykluczaliśmy sądownie lajdaka z naszej społeczności. Denat, zerwany silnymi ramionami z podwyższenia, na którym tłumaczył się ze swych sprawek, w przelocie kilku sekund siedział już w taczce i po chwili lądował za bramą fabryki.

Gwizdami i szalonymi śmiechami zęgnęła ich załoga fabryczna, gdy poturbowani uciekali za bramę, wydani na pastwę urwisów i dzieciarni. Następnie poświęciliśmy czas panu Schweikertowi, który w czasie sądu, jak gdyby nigdy nie, rzekomo spokojnie pracował w kantorze, nie odważszy się wychylić swego nosa choćby przez okno. — Towarzyszy Minich zatrzymał się dla nabrania oddechu.

A ze Schweikertem — wspomina dalej — nie poszło łatwo. Wielu z robotników odczuwało — diabeł wie dlaczego — szacunek dla „starego”. Jeszcze w nich pokutował duch niewolniczy, jeszcze nie wytrzebił ze

wawszy go w kantorze i po postawieniu warty, aby cenny piatek nie wyfrunął, wyszliśmy na ulicę.

Towarzyszy Jerzy Minich ma za sobą piękną rewolucyjną przeszłość. Dzisiaj ten przeszło osiemdziesięcioletni człowiek cieszy się jeszcze dobrym zdrowiem i nie myśli rozstawać się z życiem, które wypełnia jego najsmielsze marzenia. Kilka dat z życiorysu towarzysza Minicha, to niemal karta z historii łódzkich ruchów rewolucyjnych — 1897 — partia „Proletariat”. Po rozwiązaniu „Proletariatu” — S.D.K.P. i L., w której przejawiał nader aktywną działalność, choćby wtedy, gdy był sekretarzem dzielnicy S.D.K.P. i L. „Bałuty”.

A w 1903 roku, gdy był poszukiwany przez carską policję, a jednocześnie potrzebna było przewieźć do Niemiec dokumenty z walk S.D.K.P. i L., szczęśliwie przeszedł przez granicę rosyjsko — pruską i dojechał do Chemnitz, gdzie mieszcił się punkt zborny dla emigrantów politycznych z Polski.

— Ale tam właśnie w Niemczech — z trudem przypomina sobie odcienie daty towarzyszy Minich — ja — nieuczony, bo na naukę w do-

Większość wspomnień Tomasza Michalskiego obraca się wokół rewolucyjnych dni 1905 roku. Gdy dzisiaj wspomina wspaniałe miesiące rewolucji robotniczej — pomimo podszerego wieku, bo liczy sobie 71 lat — prawie nic z jego pamięci nie uleciało. Mówi, że wówczas takich jak on, w szeregu S.D.K.P. i L. było wielu, że stopień uświadomienia politycznego wśród towarzyszy partyjnych był wysoki i dziwi się, że można przypuszczać, iż on mógłby coś zapomnieć. — Był to piękny rok nadziei. Ale do czasu. Nie chcę ograniczać opowieści towarzysza Tomasza Michalskiego o relacji il tylko z dni czerwca-wych 1905 roku. Wprost przeciwnie — ciekaw mi nie sam, jego droga do partii prosta i nieskomplikowana, podobna do tysięcy również prostych i nieskomplikowanych dróg naszych towarzyszy, którzy na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku w mrokach powszechnej ciemnoty ujrzeli światło socjalizmu.

A towarzyszy Michalski ma o czym opowiadać. Wiele widział, wiele przeżył, wiele przecierpiał.

Jako młody chłopiec przybył z Jeżowa do Łodzi — owej Ziemi Obiecanej, miasta pęczniejącego dostatkami magazynów i pełnią i dosytem secesyjnych pałaców fabrykanckich. Musiał za kopiekił zaoszczędzone na chlebie kupić się w łaski drobnomieszczańskiego wyszkiwacza majstra-sklepikarza.

Mieszkał przy ulicy Zielonej, na Bałutach, w drewnianym — w jednym pokoju na kilkanaście osób. Rano budził go wracający z nocnej zmiany robotnik, aby na resztę dnia zająć łóżko. Przemyślenie głodem było czymś stałym. — Z owych lat — opowiada towarzyszy Tomasz — najlepiej pamiętam ciągłe uczucie niewyspania i głodu.

Tymczasem nadchodzi 1905 rok. Z ust do ust krążyły najroźniejsze wieści. Nieraz zdarzało się, że przyznosili je rosyjscy szeregowi żołnierze. Podobno proletariat rosyjski ruszył się przeciwko carowi samodzielnemu.

TOMASZ MICHALSKI

Po długotrwałej zimie nędra robotników przeznadziła wszelkie ludzkie wyobrażenia. Ludzie zaczęli szemrać, wpiwer nieśmiało, potem coraz śmiele, aż wybuchnęli w ogromnych manifestacjach styczniowych, wiążąc swój ruch z ruchem bohaterkich proletariuzy Piotrogradzkich.

Przy kuchniach ulicznych zawrzało. I pierwsze okrzyki: Precz z repeta! My chcemy zarobków! — w ciągu niewielu dni zabuchały gniewnym hasłem: Precz z caratem!

Towarzyszy Tomasz Michalski już nie błąkał się poomacku. Odnalazł drogę, po której przez całe życie biegał krocząc: S.D.K.P. i L. — Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy.

II

W czerwcu Tomasz Michalski wyteżenie pracował, zajmując się sprawami partii. Olsnieniem dla niego były pierwsze brzusury i książki o światopoglądzie materialistycznym. A w warsztacie szewskim przy ul. Pomorskiej pod numerem pierwszym potajemnie wypożyczano rozmaite druki przywożone z zagranicy. — Tam — wspomina towarzyszy Michalski — przed laty bywała Róża Luksemburg. Trzeba pamiętać, że wpływy S.D.K.P. i L. obejmowały przede wszystkim rzemieślników. Dopiero w 1905 roku nasza organizacja ogarnęła masę.

My — opowiada swoim rozmówcom głosem towarzyszy Tomasz — nie oddzieliłmy udziału na zewnątrz w wiecach, giełdach, czy manifestacjach od pracy pośród nas samych. Naszym S.D.K.P. i L-owców szewców dążeniem było stworzyć Związek Zawodowy. I na tej drodze łączyliśmy się z łódzkimi proletariuzami, — walce ekonomicznej cierpliwie nadając charakter polityczny. — Największym moim świętem było, gdy majstrzy, zmuszeni przez nas, poddali się i pod groźbą użycia siły pozakładali warsztaty. Od tamtego czasu za parę obuwia otrzymywaliśmy, nie jak dotychczas, 45 — a 125 kopiejek.

Poprzedzać na stworzeniu Związku było by śmieszne. Najlepiej wiedział o tym Teofil Furmański,

stary doświadczony towarzyszy jeszcze ze Związku Robotników Polskich. Mawiał on nam o podziale społecznym na klasy, o prawach ekonomicznych i zaczął do dalszej walki. — Jesteśmy zwyciężczy — to tylko po części jest naszą zasługą. Zwyciężyliśmy, bo rośnie proletariatusz — łódzki, tak jak i warszawski, częstochowski, sosnowiecki. Ba — gdyż rośnie proletariatusz światowy. Niechno by zawiódł — a znów by nas panowie magnaci dusili za gardła. — I z całą siłą młodzieńczego przekonania wrosiliśmy w ogólną sprawę proletariatusza.

III

W poniedziałki tysiące ulotek przyniesionych z niedzielnych majówek kolportowaliśmy po mieście. Ten i ów spośród nas już i sam przemawiał, sam taką majówkę prowadził. W łasku Schmidtkiego, graniczącym z majątkiem Heinzla, na terenie obecnego Marysina, napotykało się grupy po stu, po dwustu robotników, którzy odprawiali dziwaczne nabożeństwa pod gołym niebem. Ktoś, zwykle nieznan partyjniak, przemawiał do siedzących na trawie robotników i robotnic. Ale — nie rzadko, gdy mówca przemawiał, a raczej marzył, jak to kiedyś będzie — iży ludzom stawały w oczach.

W początkach czerwca, po Zielonych Świątkach, przeżyłem wraz z wieloma towarzyszami jedną z większych manifestacji łódzkich. W niedzielę — pamiętam jak dzisiaj — po masowce w lesie łagiewnickim uformowaliśmy się w pochód. Z lasu skierowaliśmy się w stronę klasztoru i następnie drogą łagiewnicką podążyliśmy ku miastu. Na rogu Młynarskiej i Zawszyz gromadzili się dragoni. Lecz nasz zdyscyplinowany pochód miał na celu jedynie zmanifestowanie swej siły i nigdy nie zgodzilibyśmy się na jakiegokolwiek awanturniczego wystąpienia ze strony samych towarzyszy. Te zawsze były dziełem burżuazji. I oto z balkonu domu Monopoliu Spiryusowego padły pierwsze strzały. Czy w tłum, czy w powietrze — trudno o tym dzisiaj wyrokować. Lecz wtedy do lu-

dzi, jako pierwszy ujrany przeciwnik, zaczął strzelać zandarm Iwan Prymireczenko. Natychmiast i dragoni zaczęli szarżować tłum, tratując kołmi biorących udział w pochodzie — w tym kobiety i dzieci. Nahałkami, zakończonymi ołowianymi kulkami, uderzając z rozmachem obcinali uszy, wybijali oczy, zęby. Nieuzbrojeni robotnicy nie zdołali powstrzymać naporu wojska i zandarmierii i rozbiegli się, pozostawiając na placu dziecinnie zabitych i wielu rannych. Zemsta za masakrę dosięgnęła jedynie zandarma Prymireczenko, którego zastrzelił nasz bojowiec.

Dwudziestego, we wtorek, odbył się pogrzeb zabitych robotników Polaków. I w tym pogrzebie my, S.D.K.P. i L-owcy wzięliśmy manifestacyjny udział, pociągając za sobą ogół robotników Łodzi. Uczestnicy demonstracyjnego pogrzebu w czasie niedzielnej manifestacji, akcję zmierzającą do niszczenia sklepów spirytusowych. — Tak — ale ani kropla alkoholu nie została wypita. Czuliśmy nad tym, aby spirytus wlewano do rynsztoków.

Lecz dopiero dwudziestego pierwszego czerwca, w środę, gdyśmy chęć pogrzebać zabitych towarzyszy Żydów, daremnie szukali ich ciał po całym mieście, — dopiero wtedy odczuliśmy własną potęgę. Działaliśmy wtedy w jedności z robotnikami P.P.S.-u i Bundu. Ilość manifestantów sięgnęła liczby siedemdziesięciu tysięcy. Miasto poprzeczynał barykady.

— Ja zaś — kończy swe opowiadanie towarzyszy Tomasz — w sterciu z dragonami przy ulicy Pustej i Karola zostałem ciężko ranny...

X

Po kilku miesiącach burżuazja wzięła się na sposób, aby skruszyć naszą jedność. Pod batutą fabrykancką powstały rozmaite związki robotników chrześcijańskich, „Związek Złoty”, związek „Jedność”. I Łódź rozwarła ogień walk bratobójczych.

— Ale czerwiec? W czerwcu 1905 roku nabrałem niezachwianej pewnością i wiary w dzień dzisiejszy.



Stare Bałuty

1905 roku. Od momentu upadku barykady czerwcowych, walki bratobójczej srożyły się z niespotykaną siłą. Organizowały się przy pełnym poparciu moralnym i finansowym kapitalistów oraz endeckich związków robotniczych, obsadzonych prowokatorami i szpiclami fabrykanckimi.

Część otumanionych dała się złowić na przynętę lepszej pracy i wielkiej nagrody, która z pewnością nie minie prawomysłnych robotników.

Reakcyjny kier zwalczał wszelkie strajki, gwałcił piekłem i karami doczesnymi, za socjalizm. Domy parafialne stały się siedliskami denuncjatorów. Wstawił się księża pogromszczy Włyżkowskiej, Bakalarczyk, Schmidel zacmiewając pamięć o uczciwych księżach. — A przecież byli i tacy, którzy w 1905 roku prowadzili pogrzeb zabitych przez policję robotników, choć wiedzieli, że każdy taki pogrzeb zamieniał się w demonstrację polityczną.

Nawet u Scheiblera endecy mieli swoje wpływy. Kiedyś dwóch prelegentów SDKPIL z dzielnicy Wodnej usiłowało przemówić do zebranych w kotłowni robotników i omal — gdyby nie pomoc części świadomych to-

warzyszy — przejdę obok posterunku.

Gdy mijaliśmy wartę — akurat z bramy wychodzili trzej żołnierze. — Okazało się, że szli także ku Targowej. My szybciej — oni szybciej. Opadł nas strach. Nie mogąc biec, bo teckki były ciężkie i podczas gwałtownych poruszeń członki chrzęściły jak grzechotki — pozwoliliśmy się dogonić.

Żołnierze nie mieli nas zamiaru przestraszyć, ani rewidować. Po prostu chcieli się z nami poznać. A spotrzegając w naszych rękach teckki — nawet byli skłonni pomóc nam nieść. Gdy któryś z nich wyciągnął rękę, ja szarpnąłem teckkę i wtedy wydarzyło się nieszczęście. Sznurki pękły, i cała zawartość teckki rozsypała się po bruku.

Nie znałam języka rosyjskiego, ale to co mówili zrozumiałam bez trudu. Dwaj żołnierze twierdzili, że należy puścić nas wolno, trzeci uważał, że należy oddać nas policji. — Owszem — nie jest szpionem — i nie jego rzecz wydawać cywiliów — ale gdy wie, że kule, które przenosimy mogą z powodzeniem utkwic w jego pleśi...

Czułam jak otucha wstępuje w moje serce. Skoro gadają — że nie będzie. Uklekłam, aby pozbierać blyszące na bruku czcionki.

Żołnierze po naradzie podpowiadali nam do rynsztoku i zażądali sbyśmy teckki wrzucili w cuchnące bajoro.

Szamocąc się z żołnierzami — nagle — usłyszałam stukot podkutek obcasów. Z ulicy Anny wyszło kilku zandarmów prowadzonych przez jaącego na koniu oficera. Prowadził towarzysza, znanego mi z dzielnicy ze spotkan na gładach, którego twarz była straszliwie zmasakrowana. Rece miał zakute. Krocząc ślaniając się na nogach — popychany kołba. — Czyżby nas poznał? Nie wiem. Lecz w chwili, gdy nas mijal wyprostował się dumnie i podniósł opuszczoną na pierś głowę.

Żołnierze zaczęli się śmiać i swobodnie, jak gdyby nigdy nie ze sobą gawędzić, z pewnością po to, aby odwrócić od nas uwagę zandarmskiego patrolu.

I czy przejął ich widok więźnia, czy też ogarnęła litość — dość, że przestali się nami zajmować.

Zdążyłam zapląć teckkę i rzucając głosem do świadków oddaliłam się, dopiero przy ulicy Targowej zrównując się z towarzyszką z bielnika. Nasłuchując, czy kto nas nie śledził weszliśmy do domu pod numerem 47, gdzie w mieszkaniu tkacza pluszowego od Flinstera polecono nam złożyć teckki. Odetchnęłam.

Rodziców nie zastałam w domu. Ojciec wraz z matką poszli na Przędzalnianę, gdzie w pobliżu domków rodzinnych, na wiecu radzono jakie zająć stanowisko wobec lokautu.

Podaję się za filantropa Karol Scheibler za sprzeciw w łamaniu strajku w bielniku, jednym pociąganiem pióra skazał na ostateczną nędzę, głód i bezdomność przeszło dziesięć tysięcy ludzi z innych dzielnic fabrycznych.

W tłumie z trudem, bo było ciemno — na Przędzalnianej nie paliły się latarnie — odnalazłam swą matkę. Na mój widok wybuchnęła szloch. W tym dniu, w marcu spadliśmy my, scheiblerowcy na dno nędzy człowieczej.

Codziennie, przez osiem tygodni tyście robotników wędrowało na wiec, gdzie na przednówku głód także się srożył, po to, aby przynieść choćby kartoflane obierki.

JÓZEF POGAN

DROGA GÓRNIKA - CHŁOPA

Przez okno domku robotniczego w Miechowie, powiatu bytomskiego, wygląda kobiecie. Wzrok jej błądzi po pięknych, oszalowanych, deskami ścianach domków osiedla, po zieleni wazonów w ogródkach i po strzelających w górę kominach kopalni. Mąż czyta gazecie, siedmioletni synek odrabia lekcje.

Tę chwilę ciszy przerwało moje wejście. On odłożył gazetę i wstał od stołu, ona cdeszała od okna i podsunęła mi krzesło. Usiadłem i dość oględnie wyjaśniłem swój cel przybycia. On zadumał się nieco, ona uśmiechnęła się, bo oto synek podszedł i szepnął jej do ucha:

— „Tatusz będzie opowiadał temu panu o swoim życiu. I o biedzie” — zachichotał cicho.

— Sładaj spokojnie, bądź grzeczny — skarciła go matka.

Łojowski zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i zaczął powoli:

Pochodzę spod Krakowa. Mój ojciec mał dwie morgi ziem w Łazach i lichą chałupinę. Dzieci sześcioro. Ja byłem najmłodszy. Gdy byłem tyłu jak ty ten dzieciak — wskazał na syna — to pierwszym moim takim szerszym pojęciem o życiu było: „służba”. O służbie ino gadałi wszyscy w domu, bo starsze siostry służyły, albo zarabiały u krakowskich ogrodników — więc i ja o tej służbie myślał. Nie wiedzieliśmy wtedy, psia krewo! nic na przykład o szkole i nauczaniu, ino o służbie, co tak w naszym rodzinie o niej gadałi. Gadałi gdzie dobrze, gdzie źle, gdzie dają dość chleba, gdzie go skąpią, gdzie przemęczają. Ja tyż „może od sześciu lat tak się myślał, żeby popaść na taką służbę, gdzie by dawali dużo jeść, bo wciąż bywałem głodny.

— I dość długo myślałem, że ta krzywda biednych nie jest wynikiem złego ustroju, ino nieuniknionym losem biedniejszych ludzi. Tak się o tej służbie myślało — urwał, zapalił papierosa i zadumał się nad swym nędznym dzieciństwem.

— I posłiszenie później do służby?

— Czym poszedł...? Poletiałem jeszcze z radością, że se pojem do syta, choć i czegoś płakałem o dom.

— Ten służebny chleb wyliźli chyba gardłem — wspominałem. — W chlewie zapewne sypialisze?

Łojowski spojrział na mnie z wyrazem pewnego zdziwienia, jakby pojął, że znam już jego niedole.

— A tak właśnie było, i znowu na służbie przez wiele lat marzyłem, by jakoś dostać się do kopalni. Bo z naszym chłopaki odchodził do kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim. Nie ino tacy b.edni jak ja, ale nawet niektórzy synowie dziesięciomorgowych gospodarzy. Przejżdżali do wsi na święta, w to widać, że lepiej żyli jak ci na wsi. Wyglądali na to po ich przyodziewku, choć piorun wie jak naprawdę żyli? Ale ciągle człowieka do tej kopalni, żeby jakoś żyć. Czasem w myśli układałem se plan życia. Więc gdy miałem osiemnaście lat, porucili mi służbę i poszedłem do kopalni. Pracowałem na „Juliuszu”. Nie było to życie, bo pracowało się prawie za darmo, za to p.e.roskie marki i dwubochynkowy przydział chleba tygodniowo. Droższe wszystko z dnia na dzień jak cholera, ceny z tysiąc skakwały na miliony i tyle z tego miałem, zem się obżywił i koszułe za miesięczny zarobek kupił. Robotnicy urządzali strajki... policja atakowała... Zagłębie wzięto bez przerwy. Później nastąpiła zmiana p.enędzy, ale już nie wiem jak wtedy robotnicy żyli, bo mię powołał do wojska. Takie były moje najmłodsze lata.

— Po powrocie z wojska poszedłem z powrotem na kopalnię, by mię przyjąć na domne miejsce.

— I przyjęli? — spytałem.

— Przyjęli psia krewo, ale sztyderstwami! — zaklął. — Powiedzieli mi, że „jak nie mam co robić, to niech weźmę laskę i robię dziury w lesie na grzyby”. Tak mi powiedzieli w starostwie, bo po długich i daremnych łazynach od kopalni do kopalni i do bura pośrednictwa pracy, zebrało nas się dziesięciu kolegów i posłisiliśmy z prośbą do starosty. Urzędnik doradził nam, byśmy „pojechali do Francji”. Odpowiedział mi któryś z nas, że „o tym na każdym stopniu telegraficznym jest ogłoszenie”. Urzędnik obrzylił się, pokazał nam drzwi i powiedział, byśmy „poszli dziury robić w lesie na grzyby”. Zostałem więc we wsi przy rodzicach w Antopolu w radomszczańskim powiecie, bo matka sprzedawała swoje zagony w Łazach pod Krakowem i wyjechała stamtąd. Łażłem długo bez pracy i czasem coś u bogaczy zarobiłem. Przymyślała mi się służba u bogaczy i wsiekałem się bardzo. Matka, siostry i sąsiedzi radzili mi, bym się cenił gdzieś na kawaleczkę ziemi, kiedy roboty nie ma.

— Nie poszukiwały ich rady?

— Czy to śmiechu warte? — spojrzał na mnie z pewną urazą.

— Warte dlatego, że wielu synów zgnuśniałych za piecem u rodziców słuchało tych rad. — Ja na przykład tak zrobiłem.

Łojowski zawtórował mi śmiechem i jął omawiać to ożenki:

— Ale to były z tymi ożenkami dziwne komedie: „Ożyn się na morgę, na dwie, dorobis se u bogocy, we dwore i bedzies se zyl spokojnie — naśladował chłopką gwarę. — Nie bedzies słuchol bucka, ino se bedzies pany som nad sobą”. Takie to starzy ludzie mieli pojęcie o życiu.

— To zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę ówczesne bezrobocie. —

JERZY MILLER

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ODDZIAŁU ZLP *) (II)

Pisałem poprzednio o bierności Łódzkiego Oddziału, gdy chodziło o udzielenie pisarzom pomocy ideologicznej, o opiekę nad młodymi. Pozostał jeszcze do rewizji jeden zakres działalności Oddziału. Mianowicie oddział nie okazywał zainteresowania polityką propagowania literatury prowadzoną w Łodzi przez Zw. Zawodową, czy przez Miejską Radę Narodową i inne instytucje i organizacje społeczne powołane do dzieła upowszechnienia kultury. Zarząd Oddziału nie interesował się również polityką literacką pism codziennych, ani kierunkiem prac wydawniczych programowych radia, filmu, kierownictw literackich teatrów, chociaż zatrudniał one i nadal będą zatrudniać członków Związku.

Również od strony miasta nie zauważono istnienia Oddziału ZLP, jeżeli — zwracano się do pisarzy z propozycjami współpracy — to indywidualnie, a nie dostrzegając Związku.

A tymczasem okres kilku lat w rozwoju p.sarza znaczył wiele. W okresie tym p.d.n.osił się ogólny poziom świadomości p.sarzy. Zaczęli oni coraz aktywniej uczestniczyć w budowie nowego życia i to nie tylko twórczością literacką. Oczywiście, najciekawsze doświadczenia nagromadził przy kontaktach p.sarza z fabryką, P.G.A.-em, spółdzielnią produkcyjną, ale przecież pole bitwy rozszerzyło się na wszystkie odcinki życia. I na odcinku propagowania kultury toczy się zapała walka klasowa nie tylko w zakresie poezji, ale i o wysuwanie nowych kadr, ale i o przemianę w stosunku do pracy, o tworzenie się socjalistycznej moralności.

Przerzuciłem rocznik łódzkiej gazet, „Ekspres” obywa się bez twórczości pisarzy nie tylko łódzkich lecz i polskich.

— „Głos Robotnicy” zlikwidował dodatek kult.-literacki w związku z ograniczeniem papieru i obowiązkiem poszerzenia innych działów gazety.

„Dzennik Łódzki” zmniejszył rozmiar swego niedzielnego dodatku „Panorama”, odgrywałego dość fałszywą rolę magazynu pełnego koncesji dla gustów drobniomieszczańskich. Żadne z tych pism, nawet przez krótki przeciąg czasu nie zajmowało się systematycznie sprawami propagowania literatury, tak jakby w Łodzi wszystko w tej dziedzinie rozwijało się bez zarzutu. Dodam jeszcze, że redakcje łódzkich gazet nie zwracały się do Oddziału skupiającego siedemdziesięciu pisarzy z propozycjami współpracy. Nie zamawiały u literatów ani reportaży z zakładów pracy, ani sylwetek przodowników pracy, opowiadań z historii walk proletariatu łódzkiego. Zadawano się przedrukami z pism pozalódzkich, które prowadziły twórczą akcję zamawiania konkretnych prac na określone tematy wydając pisarzowi przepustki do zakładów pracy, kierowania do odpowiednich ludzi z Rad Zakładowych — tę nieodzowną w pierwszym okresie współpracy z pisarzem pomoc.

Nie liczenie się z opinią Z. L. P. przyznano się do wielkich błędów Wydziału Kultury MRN polegających głównie na wadliwie prowadzonej współpracy z pisarzami. Wydział Kultury miał organizować wieczory autorskie, porobił z pisarzy historyków literatury i to na bazie Ośrodka Po-

piernia Sztuki, pozostawionego w stanie kultywowania tradycji dawnych burżuazyjnych kółek miłośników literatury, w chwili, gdy w Łodzi można wymienić setki świetlic przyzakładowych, do których żaden pisarz nie dotarł.

Ponadto Wydział nie odnawiał kręgu pisarzy-prelegentów spośród młodych pisarzy, a w urządzanych po świetlicach imprezach artystyczno-literackich nie brali udziału twórcy, rozwijający się pisarze Oddziału.

Zdarzało się również, że pisarz starannie przez siebie przygotowaną prelekcję wygłaszał tylko jeden raz, a przecież problem reprodukcji w upowszechnieniu kultury odgrywa pierwszorzędą rolę.

Przez nieingerowanie Zarządu Oddziału pisarz pozbawiony był możliwości badania recepty swych utworów w środowisku proletariackim. A przecież to, jak robotnik rozumie i przyjmuje utwór literacki i jak z niego korzysta, winno być pisarzowi znane.

Jeżeli czytamy, że w czasie wojny czerwononarumiści czytali wiersze Twardowskiego, wiemy, że twórczość tego poety radzieckiego znalazła się na linii potrzeb tamtych czasów. Trzeba pisarzom otworzyć krąg doświadczeń wynikłych ze sprawdzania oddziaływania swych utworów. Najlepszymi krytykami są ci, do których się p.sze. Prelekcje i wieczory autorskie muszą być połączone z dyskusją.

Specyfiką pracy w instytucjach organizujących prelekcje, odczyty, wieczory autorskie jest niezatrudnienie pracowników w pełnej ilości stałych godzin pracy. Ten typ zajęcia bardzo odpowiada pisarzowi, gdyż pozostawia mu wiele czasu dla pracy twórczej. Lecz cóż się dzieje? Fakt, że np. pracownik literackiego kierownika teatru nie pochłania ściśle określonych godzin, stał się ośkożni — nie do aktywizacji twórczej — a po prostu do przyjęcia następnej posady. W dawniejszych latach brak ludzi o jakichkolwiek kwalifikacjach uzasadniał konieczność częstej wieloposadowości. Obecnie wprowadzani do Związku młodzi literaci, reprezentujący nowe wartości, często jeszcze zatrudnieni są w biurach i po centralach handlowych, tracąc możliwość rozwoju literackiego.

Od Związku otrzymywali legitymację, w razie próby o stypendium — pparcie i na tym wyczerpywała się rola Związku. A przecież Związek mógłby skierować tych pisarzy, jeszcze nie utrzymujących się z samej twórczości, do pracy na odcinku kultury. Ostatnio wysunięte propozycje uwagi Zarządu Oddziału i egzekutywy PO. PZPR spotkały się z właściwym przyjęciem ze strony KŁ PZPR.

Jeśli chodzi o prasę łódzką, to od nowego roku „Głos Robotniczy” wznosił dodatek literacko-społeczny oddając prowadzenie dodatku partyjnemu kółu przy ZLP.

W przyszłości spodziewamy się, że ofensywa Związku sprawi, że w ustaleniu programów akcji literackich, w których trudni się pisarzy — Zarząd będzie mógł wypowiedzieć się i konstruktywnie i krytycznie i że z opinią ZLP teren Łodzi będzie się liczył.

Jerzy Miller

*) Patrz: J. Miller — „W zarządzie oddziału ZLP”, Wiś Nr 50 (281) 1950.

MARCIN WIELGUS

„OBIEKTYWNE TRUDNOŚCI”

Gdy na skutek noty naszego korespondenta inspektor kulturalno-oświatowy ZSCH badał dlaczego w Uninie nie ma świetlicy, miejscowe „czynnik” usiłowały mówić w niego, że uruchomienie świetlicy uniemożliwia fakt, iż lokal przewidywany na świetlicę przeznaczono na zlewnię mleka. Ot takie... obiektywne trudności.

Fakt, że p. inspektor wziął to za dobrą monetę i uznał sprawę za załatwioną, świadczy jak skuteczną bronią w ręku terenowego niedbalucha, leniwa i bezduznego formalisty stac się mogą „obiektywne trudności”. Znaczący od razu — o ile natrafia na minimalistyczne podejście do sprawy i skłonność do strusiej polityki u władz nadzorczych.

Bo tzw. „obiektywne trudności” to brzytwa w ręku biurokraty do przecinania w załzku wszelkiej rzeczowej krytyki, to tarza w ręku spychacza, którą zaistniała się przed próbami rewizji jego stylu pracy.

Po broń tę, zwłaszcza dziś, w okresie wzmożonej czujności korespondentów terenowych i ustawowo nakazanego obowiązku wyciągania z oddolnej krytyki każdorazowych konsekwencji, chwytają biurokraci szczególnie często. Staje się ona ich „ultima ratio”.

Ale zaznaczmy również od razu, „obiektywne trudności”, to bumerang, który obraca się przeciw samym biurokratom i niedbaluchom, o ile trafi na czujność po przeciwniej stronie. Wtedy „obiektywne trudności” posłużą nam do zdemaskowania biurokraty, który za nimi się ukrywa. Bo jak uczy życie i doświadczenia budownictwa socjalistycznego, zawsze i wszędzie zasadniczą przyczyną zła tkwi nie w obiektywnych trudnościach lecz w subiektywnych nieudolności, niedbalstwie, biurokracji, lenistwie i szkodnictwie pewnych jednostek, pewnych ludzi.

W zespołe PGR Pukarów (pow. Tomaszów) dopuszczono do zbrzylenia większej ilości cementu. Tłumaczenie biurokraty — obiektywne trudności: brak specjalnych pomieszczeń — magazynów. Blizsze zbadanie sprawy wykazuje karygodne niedbalstwo dyrektora zespołu, Bolesława Wróblewskiego. Niedbalstwo, i szkodnictwo nie przypadkowe. Przy odrobinie staranności można było zawsze cement ulokować w suchym pomieszczeniu, choćby na strychu pana dyrektora... Cała rzecz w tym, że panu dyrektorowi na cencie nie zależało. Był synem sanacyjnego oficera i gwizdał na dobro ludowe. „Obiektywne trudności” zdemaskowały wroga.

W zarządzie okręgowym PGR w Lublinie kulało planowanie. Obiektywne trudności? Nie podobnego. Po pro-

Marcin Wielgus

JÓZEF STACHOŃ GDY ŚWIETLICE ZAMKNIĘTE NA KŁÓDKĘ

Na kilka dni przed powszechnym spisem ludności redakcja „Rolnika Polskiego” otrzymała list od robotnicy PGR Pawłowo, pow. Węgrowiec, woj. poznańskie, w którym czytamy:

„Puszczono u nas budję, że tylko do 3 grudnia wolno zabijać świmie. Jedni mówią, że trzeba będzie potów oddać do rzeźników, drudzy, że tylko skórę. A jak mówić komuś, że na pewno tak nie będzie — to bogacze w okolicy dają odpowiedź: jak nie masz, to ci nie wezmą... Więc proszę jak najszybciej wytłumaczyć ludziom jak ta rzecz stoi, gdyż gupstwa plotą. A przecież tak w Polsce być nie może, toć plan sześciolletni wykonak musimy. A plotki głupie w pracy przeszkadzają.

Ludzie sobie nie zdają z tego sprawy. Chyba wtenczas zrozumieją, jak będą mieli napisane czarno na białym, to może się opamięją.”

Redakcja „Gazety Poznańskiej” zainteresowała się tą sprawą i wydelegowała do Pawłowa swego sprawozdawcę.

Sprawozdawca, doświadczony terenowiec, od razu wie od czego w takich wypadkach zacząć „wizję lokalną” i ustalenie diagnozy. Oczywiście od świetlicy.

Cóż się okazuje? Świetlica od nieokreślonego czasu nieczynna i... zamknięta na kłódkę. W biurze PGR rodi się gwałt, bo na dobitkę wychodzi na jaw, że nikt nie wie, gdzie się podział klucz (!) Okazuje się także, że „czarne na białym” wcale nie tak łatwo dociera do Pawłowa. Czyżby szwankowała poczta? Nie podobnego. Przeciwnie. Poczta działa tak sprawnie, że aż wprowadza biurokratów z PGR w zakłopotanie. Żli są, że gazety „wał im się na głowę”. W końcu znaleźli sposób. Przesłali przesyłki gazetowe w ogóle rozpakowywać (przecież i tak nie ma klucza do świetlicy — obiektywne przeszkoda!) Oczom zdumionego dziennikarza ukazały się za to kolekcje przesyłek pocztowych na półce w biurze (!)

Walały się tam „Trybuna Ludu”, „Chłopska Droga”, „Materiały Świeclicowe”... począwszy od datowanych we wrześniu! Nie zdołały do tej chwili opuścić biurowego stołca.

„Czy w świetle tej sytuacji — pisze „Gazeta Poznańska” — należy się dziwić, że kierownik gospodarstwa w Pawłowie nie nie wie o uchwałach IV Plenum KC PZPR, że w jednym z sąsiednich majątków kalkulatorem jest np. były właściciel apteki, że w Zespołe na odpowiedzialnych stanowiskach „siedzą” byli sklepikarze, że także dzielne kobiety jak autorka listu są niedostrzegane przez kierownictwo zespołu, a co gorsza przez organizację partyjną?”

Fakty z Pawłowa dotyczą podstawowych problemów wsi dzisiejszej. Na co one wskazują? Wskazują one na to, że praca kulturalno-oświatowa na wsi na obecnym etapie zastraszającej się walki klasowej, wbrew mniemaniu różnych miejscowych biurokratów, a nawet, jak mieliśmy dowody, niektórych inspektorów kulturalno-oświatowych ZSCH, nie jest żadną sztuczną przyczepą w socjalistycznym gospodarce, a przeciwnie istotnym frontalnym odcinkiem walki o socjalizm na wsi i organiczną częścią pracy każdego kolektywu. Przystawie mowi „natura nie znosi próżni”. Gdy w PGR zabrakło gazety i świetlicy, na ich miejsce wskoczyła „automatycznie” kutaczka plotka i szkodnictwo. Dlatego dziś wdowa Białycażkowa oplotkuje po niewczasie, swojego 50-kiłogramowego wieprzka, zabitego na skutek tych podszeptów wroga. Zamykając świetlicę, biurokraci otwierają drzwi szkodliwej plotce i wrogiej propagandzie, a chowając gazety, rozbrająją masę z potężnego oręża walki, jakim jest stowo Partii.

W PGR Pawłowo sytuacja została opianowana dzięki świadomemu i nacechowanemu proletariacką troską o dobro kraju czynowi robotnicy, czynowi korespondenta wiejskiego. Ten nowy, dzielny człowiek, jaki wyrósł w zespołe PGR, nie został tam w ogóle dostrzeżony, nie interesowano się nim, nie ułatwiano mu awansu społecznego. To też jest problem. Problem nieuleczalnej choroby każdego biurokraty — ślepoty.

Józef Stachon

JÓZEF DURACZ

GŁOS Z NOWEJ HUTY

Jestem synem matorolnego chłopca. Często marzyłem przed wojną w jaki sposób zostać soferem, w jaki sposób zerwać z pasaniem krów kulaćkich. Często przychodziła mi ochota pójścia w świat, do fabryki, zdobyć fachu. Ale do jakiej fabryki? Do fabryki zamkniętej przez kapitalistów?

Marzenia moje spełniły się dopiero w Polsce Ludowej.

Zapisałem się do ZMP, skąd skierowano mnie na kurs kierowców samochodowych.

Na wieść o rozpoczęciu budowy Nowej Huty przybyłem jako jeden z pierwszych do SPB. Z miejsca dostałem przydział do obsługi ciężkiego sprzętu, gdyż posiadałem ku temu wszelkie dane, prawo jazdy I kategorii i praktykę.

Kierownictwo Bazy Sprzętu zorientowało się po kilku dniach w moich kwalifikacjach i przydzieliło mi ogromnego, zupełnie nowego „Stalińca”, przysłanego przez Związek Radziecki do budowy Nowej Huty.

Trzeba było jednak przejść krótkie przeszkolenie teoretyczne i praktyczne, ażeby móc stać się kierowcą „Stalińca”.

Wraz ze „Stalińcami” przybyli specjaliści - instruktorzy, którzy uczyli ZMP-ów na kierowców tych maszyn.

Obecnie pracuję na swoim ogromnym „Stalińcu” na osiedlu A-I. Codziennie wykopuję setki kubików brylasytej ziemi. W ten sposób przygotowuję dla betoniarzy teren do rozpoczęcia pracy przy układaniu fundamentów gmachu handlowo-gastronomicznego.

Pokochołem „Stalińca”, przez niego zostałem na zawsze związany z ludźmi, którzy stworzyli mi możliwość uczestniczenia w budowie Nowej Huty, z ludźmi radzieckimi.

— Ale mam jedno zmartwienie. Nieraz, gdy przechodziłem koło tablicy współzawodnictwa wśród wielu fotografii przodowników pracy, na próżno szukałem swego zdjęcia. Zazdrościłem im, bo mnie do współzawodnictwa pracy nie wciągnięto.

Wiele mówięm o tej sprawie w kierownictwie i Radzie Zakładowej, upo-

minalem się o to na naradach wytwórczych, zebraniach partyjnych, walce w różnymi sposobami, aby pracować w akordzie i aby mnie i moim kolegom umożliwiono wzięcie udziału we współzawodnictwie pracy. Kierownictwo jednak milczało, zaniechała Rada Zakładowa, nie zainteresowała się tą sprawą Organizacja Partyjna.

Jrk mam ocenić swego „Stalińca”, którego tak pielęgnuję jak własne oko, choć mam mówić o jego wydajności udziom, którzy zwiędzają rżutę, o tym, jaki on procent normy wyrabia itd. Często takie pytania zatykają mi gardło, nie mogę wykrztusić odpowiedzi, odsyłam do kierownictwa, niech tym ludziom wyjaśni, jaką wyrabiają normę „Stalińca”.

Jeżeli byłem zdolny opanovać mechanizm tego sprzętu — dlaczegożby mi mogło coś przeszkadzać w podwojeniu swojego wysiłku i w osiągnięciu jak najwyższego procentu normy?

Jestem głęboko przekonany, że „Stalińca” wraz ze mną nie zawiodą. Żyjęm się z nimi w pokonywaniu codziennych trudności, w budowie miasta, ale kierownictwo powinno wreszcie zmienić swój konserwatywny stosunek i fałszywe pojęcia o pracy dźwiótkowej, i umożliwić nam kierownictwem spychaczy wciągnięcie się w szeregi czolowych przodowników Nowej Huty.

Józef Duracz

przesłał Ryszard Szczepankiewicz.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 720-00, Tel. Redakcji 751-80, w wewnętrznym 23 i 80.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. C Z Y I L E N I K
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKUPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
W a r u n k i p r e n u m e r a t y:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto P.K.O. Warszawa
VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiś”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Człotnik” Marszałkowska 3/8
2-B-11307



Józef Pogan.